Nr. 13. Lwów, Niedziela dnia 13. grudnia 1874 r. **Rok I.**



TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr., półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sgr.

LUŹNE UWAGI.

XII.

Ogródki Froeblowskie.

IV. Dla dziecka, są ogródki Froeblowskie miejscem najmilszej zabawy, która dla tego, że bywa rozumnie urządzoną, mimo wiedzy dziecka, staje się dla niego środkiem umysł kształcącym.

Umysł ludzki posługuje się zmysłami, one mu przynoszą wrażenia, one zgromadzają materjał do wytwarzania pojęć. Za pomocą zmysłów, umysł się kształci, a zmysły rozpoczynają funkcjonowanie żywotności, to też dziecko żyje zmysłowo. Inaczej być nie może — dusza bowiem dziecięca nie ma jeszcze dostatecznego materjału do wytwarzania sobie pojęć ogólnych.

Od rozwoju zmysłów, zależy przeważnie stopień mniejszej, lub większej doskonałości w pojmowaniu; rozwój ich, jest podstawą rozwoju wrodzonych zdolności.

Ogródek stara się właśnie o to, aby wrodzone zdolności dziecka rozwinąć, aby wszelkim objawom żywotności nadawać właściwy kierunek, aby istotę dziecka wyzyskać na każdym kroku na korzyść wykształcenia. Ponieważ dziecko żyje zmysłowo, ponieważ zmysły u niego najpierw zbudziły się do życia, do działania — więc ogródek od zmysłów zaczyna. Dziecko pragnie ciągłego ruchu; ogródek korzysta z tego, daje mu swobodę ruchu, ale ruchowi zakreśla pewne formy przez urządzanie systematycznych poruszeń, skoków, marszu i biegu w masie i z osobna, przyczem uważa się, aby dziecko nabierało wdzięku w poruszeniach. Nader ważną jest rzeczą wyrobienie ręki, aby zręczną była i silną; ogródek ćwiczy ją przez podawanie stosownych przedmiotów do rzucania i grę, w której rzucone przedmioty dziecko chwytać usiłuje. Oko rozwija i kształci metoda froeblowska, przez podawanie dzieciom we wszystkich zabawach, szlachetnych kolorów i harmonijnych kształtów. Jak to szkodliwie działają na umysł, a bezpośrednio na oko dziecka, owe rozliczne karykaturalne, niezgrabne figurki pstrokate, zwykle przez matki do zabawy podawane dzieciom!

Słuch i wymowa rozwijają się w ogródku, przez śpiew, muzykę i przestrzeganie wyraźnego mówienia, tudzież deklamację. A jakżeż to ważną jest rzeczą, aby zmysły jak najwięcej się rozwinęły, aby pozyskały jak najwięcej zdolności do chwytania wrażeń, przez nie ze świata zewnętrznego, do duszy się wciskających!

Ogródek ujmuje w szranki popęd działalności dziecka, właśnie do 6go roku życia, najżwawszy, najsilniejszy. Nadaje mu kierunek korzystny dla rozwoju zmysłów, przez urządzanie zabaw połączonych z robotą. Dziecko znajduje ciągłe zajęcie w układaniu różnych przedmiotów, które je zabawiają; w przedmiotach tych daje się zmysłowi wzroku główne kontury wszelkich kształtów w naturze spotykanych, mianowicie: kulę (w piłce), kostkę sześcienną (w częściach składowych domków i t. d.) i walec, jako kształt między niemi pośredni; pręcik i małe tabliczki dla uzmysłowienia powierzchni, linji i t. d.

Kula, sześcian, walec, powierzchnia i linja — oto główne, zasadnicze kształty wszelkich tworów przyrody; z nich wydobywa natura ową rozmaitość i harmonję — jakie w jej tworach się rozlewają. Owe kształty zasadnicze i budowa komórek w tworach organicznych, objawiają się w owych niezliczonych prawie odmianach, gatunkach, przeobrażają się połączeniami i jak jedne i te same szkiełka w kalejdoskopie, coraz inny przedstawiają obraz. Dziecko na wzór przyrody postępuje z temi kształtami. Wyraża swą myśl w jakiejś budowie z nich, w ułożeniu ich, a gdy dokonało zamiaru, już je porywa pęd działalności do objawienia myśli w innym kształcie i oto burzy swą mozolną budowę, rozrzuca robotę i nowe z tych kształtów wytwarza figury. Pragnienie nowości, jest cechą rozwoju — rozrostu, żywotności; dziecko i młodzieniec, domagają się rozmaitości, świeżości wrażeń; człowiek dojrzały obchodzi się bez nich, bo żyje zdobytym materjałem; starzec unika ich, bo żywotność jego osłabła, umysł pragnie spokoju. Jest to proces codziennie spotykany w naturze. Pszczoła zbiera na wiosnę zapasy, uwija się skrzętnie po łanach i ogrodach, jak umysł dziecka i młodzieńca, po świecie zewnętrznym; w lecie porządkuje zdobycz, jak człowiek dojrzały świat swój wewnętrzny; w zimie zamyka się w ulu, jak starzec w swoich wspomnieniach.

Podajcie dziecku jak największą ilość pstrych, różnorodnych zabawek — lalek, koników i t. d. a w pierwszej chwili zajmie się niemi, zabawi; nazajutrz porzuci je, nawet popsuje. A dlaczego? oto, bo zabawki te były dlań w pierwszej chwili nowością i mogły je zabawić, lecz potem znudziły dziecko jednostajnością, tożsamością, wykończonym, stałym swym kształtem. Dziecko nie znalazło przy nich sposobności do działania, do tworzenia z danych, nowych rzeczy; więc pragnąc odmiany, rozmaitości, popsuło zabawki. Im bardziej dziecko zabawki psuje, im skrzętniej się ich pozbywa, tem więcej okazuje popędu twórczości, działalności. Skutkiem tego, prostych kilka sześcianów, zwykłych kulek kilka, walce, pręciki i tabliczki, bez porównania milszemi są dziecku, od zabawek gotowych. Kule, kostki i t. d. mają w oczach dziecka zawsze powab nowości, świeżości — bo dziecko według upodobania, zawsze coś nowego, coś świeżego z nich sobie ułoży, ustawi i popęd twórczości i pragnienie rozmaitości tem zaspokoi i największą znajduje uciechę w tych tworach swobodnej swej fantazji, które mu jego własny światek składają, światek samodzielnie stworzony. Samodzielność, to podstawa rozrostu ducha, to tło charakteru, to warunek życia indywidualności. Zbrodnię popełniają rodzice, którzy w jakikolwiek bądź sposób ją tłumią. Stłumiona, nie zginie—ale się w swawolę przerodzi. Ztąd to dzieci rodziców surowych, albo są w dojrzałym wieku złamane i nieszczęśliwe i od właściwych swej naturze oddalone torów, albo zgniłe zepsuciem, dla społeczeństwa przepadłe.

Układaniem tych kształtów w figury w wyobraźni dziecka powstałe, lub wolą dziecka z wzorów naśladowane, rozwija się myślenie. Z myśli i uczucia rodzą się dzieła i czyny, po czynach i dziełach nastaje refleksja, a z niej nowe wysnuwają się myśli, nowe uczucia. Dziecko pod wpływem jakiejś myśli, wytwor zyło sobie

pewną figurę, jej widok nową w niem myśl rozbudził i do nowej roboty dał pochop, nowe podyktował dzieło.

Ażeby zręcznie przeprowadzić te racjonalne zupełnie zabawy dziecięcia, aby mu ich nienarzucić, lecz w dziecku ku nim wywołać pociąg i ochotę, aby w niczem nie okazać dziecku nacisku zewnętrznego, by go do niczego nie znaglać, nie zmuszać — ale jego własną wolę i chęć do tego rozbudzić, pociągnąć, potrzeba nie małego wykształcenia antropologicznego, fizjologicznego i psychologicznego. Jakże mały procent matek posiada je dokładnie!?

Kierowniczka zakładu posiada je, bo temu specjalnie się poświęciła, bo to stanowi zawód jej życia, który spełnia pod kontrolą władz i opinji. Z tego też względu dobrodziejstwem są dla dzieci ogródki, większem, niż bezmyślne pieszczoty matek.

SERCE I RĘKA.

Powieść prawie historyczna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Na pozór obojętnie — Zygmunt który jakoś drgnął słuchając — zapytał:

— Gdzież się to stać miało?

— Nie wiem, powiadają że gdzieś w Niemczech, bo Fratelli tam podobno się kształcił na muzyka....

Zamilkł Zygmunt, lecz tych kilka słów, połączone z dziwnem przed chwilą spotkaniem, z pomięszaniem Olimpji, zrodziło w nim podejrzenie. Miałże by los tak się nań spiknąć, ażeby mu rzucił w drogę właśnie tego jednego człowieka, który groził obaleniem całego gmachu tak mozolnie zbudowanego— lub — była li w tem zmowa i porozumienie??

Krew biła mu do głowy... niepokój go ogarnął. Major który szedł przy nim usiłując go jeszcze wyzyskać, dopatrzywszy się tej zmiany fizjognomji, nie wiedział już co myśleć.

— Nie wiesz pan co więcej o tym Fratellim? spytał Zygmunt — to jakaś ciekawa i zagadkowa figura....

— Znam go doskonale, wybuchnął Redke, bo ja, przyznam się panu, pasję mam do artystów... szukam ich znajomości. Widzę, niepochlebiając, że pan jesteś znakomitym fizjognomistą. Rzeczywiście zagadkowa figura... Włoch... nazwisko włoskie... a po niemiecku mówi lepiej niż po włosku... umie po rosyjsku, po polsku, po czesku....

— Tak? zapytał żywo Zygmunt — czy pewno?

— Niezawodnie.... Zna niemal całą Europę.

— I Saksonję....

— Często bardzo rozpowiada o Dreźnie.

— A! wybuchnął baron, któremu twarz oblały płomienie — i to pewno?

— Słowo honoru — nie pozwoliłem sobie nic dodać.... Kobiety za nim szaleją, jak to już panu mówiłem, kończył Redke— a on najmniejszej na nie uwagi nie zwraca. Żadna z nich nie czyni na nim wrażenia. Mówią że tej swej tragicznej pierwszej miłości pozostał wiernym....

Chwilę milczeli. Zygmunt szedł zamyślony ponuro, wątpliwość jaka się w nim obudziła, rosła, przeczucie jakieś wskazywało mu nieprzyjaciela. Nie mógł się pozbyć tej myśli — że Fratelli jest pierwszym Olimpji kochankiem.

— Panie baronie, odezwał się po namyśle — lubię bardzo ekscentrycznych ludzi... przytem, przyznam się panu, obserwuję charaktery i w podróżach szukam celu... nie mam co robić. Pan byś mnie bardzo zobowiązał ułatwiając bliższe zapoznanie się z Fratellim.... Wiesz pan co — rzekł po namyśle — a gdyby tak jego i jeszcze ze dwóch artystów zaprosić na śniadanko?... Rozumie się że poniósłbym koszta chętnie.

— Śniadanko?? Twarz Redkego rozjaśniła się — tylko nie u tego truciciela u którego pan jadłeś obiad dzisiaj.... Ja wyszukam lokal gdzie jedzenie jest książęce, a wina zdrowe i czyste. Artystów ze dwóch i to pierwszej wody obowiązuję się przystawić.... Fratellego zaproszę.... Jednak co do niego uprzedzić muszę... rzecz nie łatwa — unika zgromadzeń... nie lubi towatowarzystwa. Lecz od czegoż zręczność? Pan mieszka? — dodał Redke...

— Ja mieszkam z chorą żoną — pospieszył Zygmunt ostrożnie, u siebie nie przyjmuję, lecz moglibyśmy się zejść.

— A no — w salonie — czytelni — hotelu....

— Des Bergues....

— Porządni ludzie gdzieindziej nie stoją.

— Chodzi mi głównie o Fratellego... lecz, pan major zaprosisz go naturalnie w swojem imieniu — ja płacę.

— Jesteśmy w porządku! zatarł ręce major uszczęśliwiony.... Rozstali się grzecznie. Jeszcze też od lat kilku nigdy mu się dobroduszniej, łatwiej nie dał nikt złapać nad Zygmunta. Wprawiło go to w bardao dobry humor. Rzemiosło jego zaczynało od niejakiego czasu być bardzo trudnem... ogarniało go zwątpienie i smutne myśli o przyszłości zepsutego świata — gdy oto znalazł się tak zacny egzemplarz naiwnego wędrowca, który sam nastawiał ręce... do pęt.

— Nie mam czasu do stracenia, powiedział sobie major... muszę się naprzód potargować z restauratorem.... a byłbym osłem gdybym na śniadaniu półtorasta franków nie miał zarobku.... Zdaje się że i doktorowa go ściągnie jeszcze swą słodziuchną minką... z tego też kapnie dywidendka....

Zatarł ręce....

— Za bilety się nie gniewa, bom się umiał dobrze znaleźć....

To mówiąc ruszył naprzód napić się absyntu — a potem za interesami.

* * *

W pierwszych scenach tego opowiadania Zygmunt dał się już nam poznać po części. — Wychowanie, wpływ ojca, życie uczyniły go jednym z tych ludzi, którzy nic nie widzą przed sobą nad interes własny. Zaczynają oni zwykle od tego że się przed opinją publiczną osłonić usiłują i czyściejszemi okazać niż są w istocie — a kończą jak on, idąc z jednych ustępstw w drugie, — że psu oczy sprzedają, wedle pospolitego wyrażenia....

Zygmunt razem z szanownym ojcem swym był tego przekonania, że bogactwo pokrywa wszystkie plamy jakie się przy zdobywaniu go — dostało. I nie można się im obu dziwować, bo w społeczeństwie naszem dosyć jest dać dowód tego najwyższego rozumu, jakim się pieniądze zdobywa, ażeby w niem pierwsze uzyskać stanowisko. Imiona i familje upadają, bo zrujnowanym najpiękniejszych rodzin spadkobiercom społeczność nie przebacza ruiny — natomiast zapomina podłość największą tym, co się dorobili grosza.

Pieniądz pokrywa wszystko — pieniądz jest rękojmią konserwatyzmu, pieniądz prowadzi z sobą przekonania którym wyższe hołdują sfery, pieniądz wyświęca ludzi na praktycznych, pieniądz daje im przywilej rozumu....

Najarystokratyczniejsze rody gotowe oddać córki, żenić synów z najbrudniejszych facjendarzy potomkami, byle w posagu szły miljony. Mieliśmy przykłady ludzi skalanych zbrodniami, których społeczeństwo rozgrzeszało—kupione złotem... Smutna to prawda, stara jak świat, lecz dopiero dziś stała się ona znamieniem wieku. Dawniej bywały wszakże wyjątki i pewne majątki, za które sobie kwalifikacji do wyższych sfer kupić nie było można — dzisiaj wszystko jest na sprzedaż.

Ojciec Zygmnnta pierwszy tę prawdę podniósł do aksiomatu, syn ją przyjął za życia prawidło. Oba razem mieli dodatkowe do swojego kodeksu artykuły.... Szambelan wiedział że ogłada i powierzchownie świetne wychowanie było warunkiem pomocniczym nader pożądanym; syn utrzymywał że spryt i gęba potrzebne były koniecznie. Oba po cichu uznawali i to że gdy się o wielkie kusi rzeczy w środkach nie ma co przebierać. To też gdy pan Zygmunt począł się starać o Olimpję ze świadomością tego, czem mu to małżeństwo groziło — ojciec rozpływał się nad rozumem i praktycznością syna.

On sam miał się za nadzwyczaj zręcznego.... Nie wahał się udawać zakochanego w pani Radczynej, maskować przed ojcem, zdobywać pannę przebojem.... Był pewien że raz tylko do ołtarza odszedłszy, zwycięży jej wstręt i opór. Rachował wiele i na to, że Olimpja dla oczów ludzkich coś poświęci, a on z tych ustępstw skorzysta.... W tak różowych myślach odjeżdżał po ślubie od ganku pałacu w Zabrzeziu — ale już w Berlinie zadanie, które mu się zdawało zrazu łatwem, okazywało się nierównie trudniejszem. Rachubę na tygodnie musiał przemienić na miesiące... uznawał że się na charakterze żony omylił. W ciągu podróży do Genewy zamiast postąpić dalej — Zygmunt prawie się cofnął — zaczynał wątpić o sobie a w myśli szukać nowych środków pomocniczych. Słowo dane Olimpji o poszanowaniu jej woli i swobody, w jego przekonaniu nie wiązało go wcale — złamał by je, gdyby się do tego nastręczyła zręczność. Ale to sprowadzić stawało się niepodobieństwem. Spotkanie z Klarą, w której zrazu widział

sprzymierzeńca, teraz wydawało mu się klęską. Najdziksze projekta chodziły mu po głowie, trudno je wszakże było przywieść do skutku. Chciał się pozbyć Szafrańskiej, uwolnić hrabinej... chwycić bodaj ostateczności, dopuścić przemocy, aby wejść w prawa swoje.

Zdawało mu się że taki coup d'etat zmienił by jego położenie i uczynił go panem.

Lecz jak tego było dokazać??

Zygmunt już zaczynał się czuć chwilami zniechęconym i znużonym. Rwał się gwałtownie — ale później trochę lenistwo go opanowywało, i zobojętnienie. Przechodził tak ciągle z jednej w drugą ostateczność.

Zygmunt im większym był samolubem, tem upokorzony czuł się nieszczęliwszym. Wstyd mu było i ojca nawet, który mu dawał po cichu rady — niemożliwe dziś do wykonania. Męczył się i cierpiał okrutnie. Każda chwila zwiększała rozdrażnienie....

Dwa tygodnie posłuszeństwa i pokory zamiast polepszyć stosunki — jeszcze je uczyniły nieznośniejszemi. Myślał że Olimpja powoli się z nim oswoi, uzna le fait accompli, będzie obojętną ale nie obcą.... Od obojętności i zwolnienia ostrożności, od porzucenia obawy, do spoufalenia, potem do pozyskania żony droga zdawała mu się łatwą. Tymczasem pierwszego kroku zrobić mu nie dawano... a od tego zależało — wszystko.

Na takie usposobienie przypadł właśnie ów koncert. Zygmunt w tłumie stojący widział poruszenie Olimpji, ale go sobie wytłumaczyć nie umiał.... Dopiero spotkanie z Klarą, rozmowa trafunkowa z Redkem, wzbudziły w nim podejrzenia.

Przeląkł się. Bądź co bądź, potrzeba było grożące niebezpieczeństwo usunąć. Jeśli Fratelli był owym tajemniczym pierwszym kochankiem, czuł że wszystko było zgubione. Wprawdzie zostawał mu Radzca.... którego córka się obawiała, znając surowe jego zasady, ale ucieczka pod władzę ojcowską, była ostatnim, rozpaczliwym środkiem obrony. Po tylu ofiarach, po przełknięciu tylu wstydów i upokorzeń, być zagrożonym ruiną wszystkich nadziei, dla Zygmunta równało się śmierci. Powiadał sobie otwarcie że człowiek w jego położeniu na wszelki sposób ratować się musi — bądź co bądź....

Rozstawszy się z majorem, na którego pomoc nie wiele liczył, bo mu ten typ awanturnika był dobrze znanym — pobiegł Zygmunt do hotelu. Chciał wiedzieć czy ten Fratelli nie poszedł z Klarą do niej.... czy nie było w tem schadzki i zmowy. Miał wszakże do czynienia z kobietą przebieglejszą niż on był, i wielce doświadczoną. Hrabina przyjechała z Fratellim do hotelu, ale nim weszła poszeptała z portjerem wciskając mu kilka franków.

— Chcę być sama z moim bratem, powiedziała mu — jeśliby nieznośny ten baron pytał, powiedzcie mu żem powróciła bez nikogo i że położyłam się dla bolu głowy — co chcecie!

Gdy Zygmunt zapytał o Klarę, ziewający szwajcar oznajmił że powróciła sama, chora i kazała sobie przysłać służącę, bo się miała zaraz położyć.... Chociaż zwiastujący mu to miał minę nadzwyczaj szczerą i prostoduszną Zygmunt nie zaufał mu. Dla przekonania pewniejszego udał się do mieszkania — żony....

Dostukawszy się do drzwi zamkniętych, znalazł salon ciemny, a Szafrańska gniewnie i kwaśno oznajmiła mu, że pani dawno była w łóżku.

Do hrabinej Klary wahał się zapukać... lecz wyrozumował sobie, że może nie wiedzieć o tem co mu na dole powiedziano.... Drzwi były zamknięte... nie otworzono ich wcale.... Z sąsiednich wychyliła się miss Draper i w sposób bardzo niegrzeczny oznajmiła mu o migrenie pani....

Podejrzliwy Zygmunt nie mogąc tu nic dojść, a mając zawsze przeczucie jakiegoś niebezpieczeństwa, powiedział sobie iż może zszedłszy w dziedziniec okna mieszkania hrabinej obejrzeć, czy też w nich znajdzie światło, którego migrena nie znosi.

Z tą myślą zsunął się po wschodach.... Obliczył dosyć dokładnie położenie tych okien.... Hrabina ostrożna we wszystkiem, zapobiegająca, tego sposobu szpiegowania wszakże przypuścić nawet nie mogła. Żaluzje nie były pozamykane, przez spuszczone firanki widać było światło... a co gorzej Zygmunt dostrzegł dokładnie trzy cienie, przesuwające się po pokoju.... Dwa z nich łatwe dlań do poznania były Klary i Olimpji, trzecim był słusznego wzrostu mężczyzna....

Jak wkuty pozostał Zygmunt w dziedzińcu; jawnem dlań było że go Klara zdradziła, że Olimpja znalazła tu pierwszego swego kochanka, że był zgubionym jeśli nie przedsięweźmie najgwałtowniejszych środków.

Nad temi trzeba się namyśleć... ale czas naglił. Zdało mu się że wypuścić ztąd bezkarnie Fratellego było zgubić wszystko.... Chwili nie miał do stracenia. Rzucił się ku swemu mieszkaniu po pistolety podróżne z pośpiechem nadzwyczajnym... obawiając aby tymczasem nieprzyjaciel nie uszedł. Pistolety były zapakowane, kluczów nie mógł znaleźć... odbił wieko podróżnego ręcznego tłumoczka, chwycił je do kieszeni... ładunków nie było... pistolety okazały się nie nabite.... Przewrócił wszystko, nie znalazł kul. Ograniczywszy się więc do pistoletów samych, dostatecznych, jak mu się zdawało, do zagrożenia nieprzyjacielowi, zbiegł do głównej bramy hotelu i tu stanął na straży.

Szwajcar zaspany i ziewający przechadzał się tu nic nie widząc na pozór.... Dowiedzioną jest rzeczą, że w podobnych wypadkach, zawsze służba bierze stronę tych, co są prześladowani, przeciwko tym, co prześladują... nawet gdy się nagrody nie spodziewają.... Szwajcar doskonale rzecz rozumiał i domyślił się że rozgorączkowany człowiek darmo tu na czatach nie stanął.

— Rozumiem, rzekł w duchu — chce tego jegomości złapać wychodzącego... ale zje licha....

Wszedł do swojej izdebki.... Tu siedziała jedna z panienek pierwszego piętra — portjer szepnął jej słowo. Dziewczę obrachowało się tak, iż gdy Zygmunt zaszedł za bramę, ona się niepostrzeżenie wymknęła wprost do baronowej. Nie wpuszczono ją wprawdzie, lecz powiedziała pannie Draper iż portjer prosi, aby wychodzący obcy pan z hotelu, był łaskaw wyjść bocznemi drzwiami, gdyż główna brama jest już zamkniętą...

Zygmunt tymczasem stał na warcie, udając kogoś co świeżego używa powietrza.... O jedenastej szwajcar począł zatarasowywać bramę.... Niespokojny wartownik wahał się zostać tu czy zmienić stanowisko....

— Cóżto, tak wcześnie? zapytał portjera....

— A pocóż ma stać otworem, rzekł tamten spokojnie, goście wszyscy popowracali, a obcy co byli w hotelu poodchodzili.

— Wszyscy? zapytał Zygmunt.

— Co do jednego — ja mam dobry rachunek.

Zastanowiło to barona... wszedł więc w podwórze znowu spojrzeć na okna hrabinej. Teraz już stały ciemne. Rzecz dlań była niepojętą, — światło to i cienie nie przywidziały mu się przecie... którędyż wyszedł ten co był u hrabiny? nie mógł przypuścić nic innego nad to, że się wymknął mu, gdy po pistolety pobiegł.... Straż u bramy na nic się już nie przydała. Zawiedziony Zygmunt wrócił do swojego mieszkania.

Należało obmyśleć co czynić dalej. Zapytać Klary było próżnem, wiedział że go wyśmieje i prawdy nie powie... wprost pójść do żony i żądać od niej wyznania, mogło tylko doprowadzić do zupełnego zerwania stosunków. Najrozumniejszem zdało się zmilczeć, ścierpieć, udawać że się nic nie wie, nie pokazywać po sobie rozbudzonych podejrzeń, śledzić tę sprawę nieszczęśliwą, która już i tak była dlań jasną, a z Fratellim poznawszy się wywołać spór — i pojedynek....

Tacy ludzie jak baron, zmuszeni często uciekać się do tej ultima ratio, którą są pistolety, przywiązują nadzwyczajną wartość do umiejętnego obchodzenia się z niemi. Zygmunt był mistrzem w celnych strzałach... rękę miał pewną, silną i mierzył tak w człowieka jak gdyby celował do drzewa. Dał tego mnogie dowody.... Pojedynek z nim nigdy dlań nie mógł być tak groźnym jak dla przeciwnika... miał też w podobnych spotkaniach niepospolite szczęście. Szło wszakże o to, aby rozprawa odbyła się tak cicho, by jego i żony nie kompromitowała....

Na inną myśl i środek pozbycia się tego człowieka jeszcze był nie wpadł. Całą prawie noc spędził na zastanawianiu się czy nie było to marzeniem, czy zazdrość nie czyniła go zbyt podejrzliwym.... O okna mógł się omylić... Tem bardziej należało się więc przyczaić tak aby nie obudzając podejrzeń dojść prawdy....

Już nad ranem rzucił się Zygmunt na łóżko... ironicznie śmiejąc się sam z siebie.

— Panie Zygmuncie, mówił w duchu — co za świetny los — jakie szczęście! jak miły stosunek domowy! Ludzie ci zazdroszczą! Szambelan marzy o zwycięztwie — a ja tu w błocie siedzę po uszy.... A! nie ma co mówić, drogo kupiłem fortunę i koligację.... Lecz — poczekajcie... rira bien qui rira le dernier — wyzwaliście mnie do walki, zobaczymy kto silniejszy.... Oszukujecie mnie... chytrym i ja być potrafię, a jeśli raz zemstę pochwycę... straszną bę-

*

dzie.... Na Boga, będzie okrutną i nielitościwą....

W tych miłych myślach zasnął gdy już świtać zaczynało, i nie dziw, że się nazajutrz dopiero około dziesiątej obudził.

(C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

III.

(Ciąg dalszy.)

Miss Dora czekała na nas w saloniku ubrana w białą sukienkę. Mak koral i perły jaśminu tuląc się do rozwiniętych w pukle złotych jej włosów, cicho drzemały. Rozpromieniona, piękna szczęściem wyciągnęła do nas po przyjacielsku ręce, aby je następnie zarzucić na szyję brata i pocałować go w czoło.

— Znów złamana przysięga—przemówiła pieszczotliwie — ty rozgrymaszony awanturniku!

— Więc dżentelmen składał już przysięgi?— zapytałem.

— Gdym go znalazła na schodach, prawie nieżywego, wtedy to przysięgał mi ostrożność i spokój.

— Lecz moja najdroższa Doro, jedna chwilka, i w tej chwilce krew uderza nam do głowy, zapominamy o wszystkiem. Powiedz ser czy mamy przytomność w takich razach?

— Nieprzytomni nie odpowiadają za swoje czyny,—odrzekłem.

— Nie broń go ser, bo jest to człowiek, który najwięcej przykrości sprawia' swej siostrze.

— Jeżeli tak moje drogie dziecię, powiem ci pocieszającą nowinę.

— Słucham — odrzekła Dora, wskazując nam ręką miejsca, byśmy usiedli.

— Za trzy tygodnie wyjeżdżamy do założenia atlantyckiego brazylijskiego telegrafu.

— Już za trzy tygodnie?

— A zatem przez całe dwa miesiące mej podróży będziesz wolna, oswobodzona od człowieka, który ci najwięcej sprawia przykrości.

— Przeciwnie, mój drogi, przez te dwa miesiące ani się na chwilę nie rozstaniemy.

— Co przez to chcesz powiedzić?

— Rzecz bardzo naturalną, że jestem przygotowaną zupełnie do drogi i postanowiłam ci towarzyszyć.

— Ależ to niepodobna! czy sądzisz że ja na to pozwolę?

— Kochany Henryku, mówmy serjo. Jeżeli dla ciebie zbyt trudną jest rzeczą dotrzymywanie przyrzeczeń, pozwól przynajmniej bym ja wypełniała moje obowiązki. Nie chcę teraz przypominać najsmutniejszej chwili w naszem życiu. Przysięgłam, że cię nie opuszczę — zamiast więc przez dwa długie miesiące żyć w bezustannej trwodze i niepokoju, wolę niebezpieczeństwo z tobą i jadę.

— Moje najdroższe dziecko, na okręcie i na morzu przez dwa miesiące, czyś ty się zastanowiła nad tem? żyć wśród ludzi szorstkich obyczajów, źle wychowanych, wśród ich gburowatych wykrzykników, i prócz tego narażać się na burzę, zimna i spiekotę równikową?

— Dwa miesiące to tylko sześćdziesiąt dni: przygotowałam książki i zabieram małą pracę do wykończenia na przyszły nasz mityng. Zresztą nie wątpię, że będę miała kajutę, a mój brat widząc, że jestem tak blisko, będzie się strzegł, aby mu krew zbyt często nie uderzała do głowy.

— Kochana Doro, zapominamy że mamy obok siebie naszego przyjaciela i opiekuna, którego zdanie powinno być szanowane.—To mówiąc spojrzał błagalnie na zamyślonego dżentelmena.

— Moi młodzi przyjaciele—rzekł ze spokojem p. Woodward. — Zapominacie o jednej ważnej, a może najważniejszej okoliczności. Za dziewięć dni miss Dora zostaje pełnoletnią: w dniu tym, który powinien być obchodzony uroczyście, z woli waszej ciotki, mam o godzinie 8mej wieczór odczytać jej list, który mi oddała przed śmiercią do przechowania. A zatem proponuję zawiesić kwestję do ostatecznego rozstrzygnięcia na dni dziewięć.

— Dear ser, zdaje się że w dniu tym sprawę zupełnie przegramy. Któż z usamowolnionych nie nadużywa w pierwszych chwilach swej wolności? Czy nie lepiej skorzystać na czasie.

— Być może kochany Henryku, lecz czyż to jest coś tak strasznego odbyć dwumiesięczną podróż na wielkim okręcie?

— A więc i kochany nasz przyjaciel jest i dziś, jak zawsze, zdania tego rozpieszczonego dziecka. I cóż ty na to ser? — zwraca do mnie rozmowę młody gospodarz.

— Ser nadto jest grzecznym, by oponował damie — uprzedza zręcznie odpowiedź miss Dora.

— Rycerskość mojego narodu nakazuje mi wprawdzie skłonić głowę przed wyrokiem damy, lecz mimo to gdybym sam przed sobą śmiał wyjawić moje zdanie, mógłbym się znaleźć w pewnej z panią sprzeczności...

— Proszę cię ser powiedz otwarcie swoją opinję jak gdybyś ją mówił przed samym sobą.

— Należę do narodu nieco zacofanego — i dla tego, radzi jesteśmy, nie zbliżać kobiet zbytecznie do ognia, a boli nas patrząc gdy muszą iść przez ulicę pieszo po błocie. I nasze kobiety podczas walk o niepodległość spotykamy na polu bitew z bronią w ręku. Szanujemy ich poświęcenie, lecz czyż je wtedy kochać możemy?

— Rozumiem, nie chcesz pan kobiety stykać z tem wszystkiem co nie jest pięknem.

— To moja opinja — przerwał Henryk.

— Ser nie wierzysz aby kobieta mogła przejść przez piekło i wyjść z niego aniołem.

— Przeciwnie wierzę, lecz mimowolnie od gorąca i dymu anioł wyjdzie z opalonemi i oczernionemi skrzydłami.

— Więc to co jest dobre i szlachetne, musi w zetknięciu ze złem upaść?...

— Nie pani, lecz gdy jest czystem i białem w zetknięciu z czarnem i brudnem, musi się powalać.

— Brawo ser! dzielnie bronisz swojej sprawy, — zawołał Henryk.

— A mnie się zdaje, że dobre jest zawsze pięknem — rzekł spokojnie pan Woodward — a nawet w zetknięciu ze złem więcej pięknieje i podnosi się. Kobieta nie tylko powinna być czynnikiem dobrym, ale również łagodzącym i wypiękniającym, dla tego radbym, aby mogła być wszędzie i jeżeli tylko zechce, zawsze wyjdzie czysta i niepokalana. Oto jest tajemnica i przyszłość emancypacji.

— Ależ to ideał! — tłomaczył Henryk

— Ostateczny cel jest zawsze ideałem, dążmy więc do niego — zadecydowawł cicho i przekonywająco szlachetny Anglik.

— Drogi opiekunie, byłam pewna że staniesz w mojej obronie, — mówiła Dora, powstając z miejsca aby uścisnąć rękę przyjaciela i oprzeć drugą na jego ramieniu.

— Drogie dziecię, znasz moją wadę, odpowiedział jej uśmiechając się dobrotliwie dżentelmen; w obec prawdy, upadają u mnie obowiązki nawet względem tych, których kocham. Radbym cię widzieć w Londynie, będę niespokojny, gdy pojedziesz, a zarazem wierzę, że wrócisz lepszą, nie uczerniwszy skrzydeł, Henryk zaś więcej łagodnym i wyrozumiałym.

Zwycięzka Dora, zaprowadziła nas w tryumfalnym pochodzie na kolację.

— Powiedz mi jednak kochana siostro, co się stanie z twojemi lekcjami, z sosaity (stowarzyszeniem) i z rozpoczętą pracą?

— Jeżeli kapitulujesz, kochany braciszku, opowiem ci wszystko. W miejscach gdzie udzielają lekcyj wymówiłam sobie wakacje i jutro zapowiem że się właśnie rozpoczynają; tymczasem miss Klara, dziś już podsekretarka naszego towarzystwa, przyrzekła mnie zastąpić.

— Może ser nie wiesz—wtrącił Henryk— że siostra moja pracuje, zarabia, ma kapitały w banku, robi podarunki bratu, sama się ubiera, a przy tem zajmuje wysoką godność, będąc sekretarzem stowarzyszenia pedagogicznego dziewic Albionu.

— Nie żartuj sobie. Dlatego że zaledwo funta na tydzień zarabiam, a on pięć, widzisz ser jak jest zarozumiały. Ja jednak zawsze utrzymuję, że mamy dochodu sześć funtów, a nie pięć.

— Co czyni na rok więcej o 1040 szylingów — rzekł pan Woodward, — a taka sumka ma już swoją wartość. Tysiąc kobiet zarabiających podobnie, zwiększają bogactwo narodu o miljon szylingów rocznie.

— Praca która nam przynosi dochód, czyni nas więcej zadowolonemi i pewnemi siebie — uzupełniłem z mojej strony.

— I dumnemi, dodaj ser.

— Bardzo sprawiedliwie, lecz jeszcze ostatnia kwestja poruszona przez ser Henryka nie została przez panią rozstrzygnięta.

— Ciekawy zapewne jesteś ser nad czem pracuję? Aby się Henryk nie nudził, zresztą aby go po żmudnych zajęciach w biurze i warstatach nieco rozerwać wieczorami, jeżeli nie idziemy na przechadzkę, pracujemy wspólnie nad nowem ułożeniem po angielsku historji literatury francuskiej, z odpowiedniemi tłumaczeniami wyjątków z arcydzieł. Braciszek mój ma dużo zdolności do poezji, tylko troszkę próżniak, woli ze mną rozmawiać, śmiać się i żartować.

— A moja siostrzyczka pisze prozą jak Fenelon lub Dickens, wprawdzie za mało wierzy w siebie, lecz tylko w tej kwestji, bo na innem polu zawsze zwycięża i stawia na swojem.

— Szczęśliwi zwycięzcy! — zauważył p. Woodward.

Duszno mi było w tej atmostferze szczęścia, którą burze czynią więcej jeszcze przyjemną, bo odświeżoną i wypięknioną uczuciem. Walc Szopena odegrany dla mnie przez miss Dorę — przypominając mi przyszłość, a w niej jasne punkciki spoczynku, wśród uśmiechów i zapomnienia, przygniótł mnie i roztęsknił. Nam wygnańcom widok spokojnego szczęścia, odnawia najboleśniejsze rany — dla nas nie ma wyboru, albo upajać się chwałą, lub umierać w odrętwieniu.

Skorzystałem z pierwszej sposobności, aby uciec, a przez drogę szumiały mi w uszach ostatnie wyrazy pięknej i poważnej: — „Wróć do nas za dziewięć dni!“.. wróć patrzeć, abyś po tem więcej tęsknił za cichem pożyciem w rodzinie, którego nigdy nie odzyskasz.

Miss Dora wychowaną była przez ciotkę. Stare panny w chwilach przejrzałości swego wieku, stają się mocno drażliwe, okazują wiele złośliwego dowcipu, a przedewszystkiem cierpią na drażnienie języczka, który nieustannie musi pracować dla ulżenia boleści. Z wiekiem ustaje drażliwość, zmieniając się w stałą nienawiść do rodu ludzkiego, przedewszystkiem zaś do rodzaju męzkiego, a w przywiązanie do zwierząt, mianowicie kotów i psów. Czasem także wydziedziczone te istoty, przeobrażają się w cichych aniołów cierpliwości i poświęcenia. Ciocia miss Dory należała do drugiej kategorji wybranych, skutkiem serdecznej i długotrwałej miłości, jaką zaszczycała młodego porucznika, który ostatnią podróż odbywał do Indji, z nadzieją powrotu w randze kapitana, aby w tej pozycji zaprowadzić piękną narzeczoną do ołtarza. Czyż jednak wielkiej burzy potrzeba, do zniszczenia życia jednego człowieka? Cóż dopiero burza Oceanu. Już minęli szczęśliwie, przylądek Dobrej Nadziei, już i równik przepłynęli, lecz nie mogli wydobyć się z wysp Kanaryjskich. Burza, a w niej przeznaczenie śmierci tu ich doścignęła. Porucznik był ostatni z opuszczających okręt, — bohater swego obowiązku wśród ciemnej nocy i fali wód zginął, jak kropla w morzu.

Dzięki temu wypadkowi ciocia miss Dory nie pokochała ani kota, ani psa, zmieniając się w cichego anioła ze łzami w oczach, osuszającego łzy, z pustką w sercu, pieszczącego serca i uczucia drugich.

Po śmierci matki miss Dory, ciotka zabrała sieroty, udzielając muzyki i języków, pracowała aby je karmić i wychowywała, aby je uczyć. Chłopiec został inżynierem, a młoda dzieweczka zmieniła się w rozumną, szlachetną i piękną miss. Ciocia spełniwszy swoją misję, po trudach i pracy na odpoczynek zasnęła nie budząc się więcej. Bratu została siostra, siostrze tylko brat. Sieroty poszły dalej, torując sobie drogę pracą.

Historja skończona, lecz któż ją ośmieli się wziąć za tło do romansu, tak mało w niej efektów, a tak dużo uczucia i cichej ofiary! To niebezpieczne na dzisiaj; uczucie oszpecą sentymentalizmem, wykrzywią nienaturalnością. Efektów które hukiem i dymem zasłonią prawdę, ogłuszą! Efektów! dla drażnienia nerwów! Niech żyje Rocambol, pomnik dla Gaboriau i chwała literatom, którzy w strasznych ekscesach i trywializmie zgubili instynkt piękna, zatracili twórczość, pocieszając się myślą, że są realiści. Biedni malutcy,— realistami byli Szekspir i Dickens. U tych geniuszów, nie wiadomo czy prawda zwycięża piękność, czy piękność pokonywa prawdę. Objawy te równoważą się, dla tego piękność jest tam prawdziwa, a prawda piękną.

Grottgerze, malarzu serca Polski, smutnej jej duszy, zadumanych myśli, tęsknych jak niewola, rozświetlanych jak praca w nadziei!.... Ilekroć mam kreślić ciche dzieje boleści serc ludzkich, zawsze mi przez myśl przesuwają się obrazy twej Lituaniki — i wtedy tracę odwagę, pióro wypada mi z ręki, zamykam oczy—Polska staje przedemną żywa ofiarą, wyciągam ręce, serce mi pęka z tęsknoty za krajem—łzy cisną się do oczu, uśmiech wybiega na usta—z dumy że jestem Polakiem!

(C. d. n.)

FRANCJA DZISIEJSZA

POD WZGLĘDEM LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Rzecz dla „Tygodnia“ napisana

przez

Ł. PICARD'A.

(Ciąg dalszy.)

III.

HISTORJA I POPULARYZOWANIE NAUKI.

Francja straciła niedawno najznakomitszego swego historyka. Przed kilku miesiącami umarł Michelet. Autor ten, obdarzony wielkiemi zdolnościami, zastosował nową teorję do krytyki i opowiadań historycznych. Posiadając dar analizy, a szczególniej zdolność dedukcyjną, w dziełach swych przeprowadzał on jakby proces historycznych osobistości, starannie zestawiając dokumenta jako dowody. Usuwając złudzenia legendowe, pod królem pokazywał człowieka, a pod człowiekiem potwór. Udowodnił jak czasami najstraszliwsze skutki zespolają się z przyczynami najbłahszemi. Dla tego też nie uszanował ani uroku ani wielkości. *Histoire de France* Micheleta jest dziełem wielkiego znaczenia, które zamierzał autor doprowadzić aż do dni naszych. Wkrótce będą ogłoszone jego pisma pośmiertne.

Guizot, mąż stanu, poświęcił długą swą starość również na napisanie historji Francji. Ma ona tytuł: *Histoire de France racontée à mes petits enfants;* mogą ją jednak czytać z korzyścią i ludzie dorośli. Guizot streszcza fakta w stylu zwięzłym, dobitnym i swobodnym. Jest to bardzo dobre dzieło w duchu monarchicznym. Traktaty o historji powszechnej są w obecnej chwili rzadkie; wyjaśniłem powody tego: dla pisania ich niezbędną jest epoka skupienia ducha, spokoju, refleksji. Zresztą znakomitsi historycy francuscy odgrywają w obecnej epoce role polityczne. Thiers, autor „Konsulatu i cesarstwa“ jest eksprezydentem republiki, Ludwik Blanc, który napisał znakomitą „Historję rewolucji,“ zasiada w zgromadzeniu narodowem; Henryk Martin, uczony i sumienny dziejopis Francji, jest również deputowanym. Esquiros należy do lewicy; jest on autorem znakomitego dzieła *Histoire des Montagnards.* Inni są więcej jeszcze zajęci, np. p. Beulé jest ministrem. Zaczekajmy na chwilę uspokojenia; wtedy francuscy historycy znowu powrócą do pióra.

Wspomniawszy o Michelecie, chcę mówić dalej o popularyzowaniu wiadomości. Zrobienie nauki dostępną wszystkim stało się jedną z naglących potrzeb naszego okresu. Współczesne dążności pozytywne wymagają tego, by prace naukowe i filozoficzne, które wywołały w ciągu przeszło pół wieku taki przewrot, były rozpowszechniane w formie łatwej i dostępnej. We Francji pierwszy Michelet nakreślił sobie cel taki. Znakomity historyk zrobił się naturalistą w swych wolnych chwilach; czyli raczej, jak się sam wyraża, dawał wytchnienie ciału i umysłowi w studjach nad przyrodą. Zniechęcony człowiekiem, zwrócił się ku naturze. Na tym przystępie mizantropji zyskaliśmy cały szereg trafnych spostrzeżeń, które dla każdego dostępne, wcisną się do rodziny w formie zajmującego opowiadania, i tym sposobem wzbudzą zamiłowanie w studjach naukowych. Dzieła Micheleta mają tytuły: „Morze,“ „Owad,“ „Ptak“ itd.

Inni znakomici autorowie poszli drogą wskazaną przez Micheleta. Juliusz Verne w tym samym celu napisał w formie pociągającej i łatwej szereg dzieł, z których główniejsze są: *Voyage au centre de la terre; Cinq semaines en ballon; Vingt mille lieues sous les mers; De la terre à la lune, Une ville flottante,* i wiele innych.

Ze swojej strony Figuier, chociaż przywiązany do pewnych przesądów, napisał: *La terre avant le déluge; La terre et les mers; L' homme primitif* itd. Dzieła te z rysunkami bardzo starannemi, przeznaczone są dla młodzieży.

Jan Macé jest bardzo pomysłowy i pouczający w swej *Histoire d' une bouchée de pain,* w *La vie d' un brin d' herbe* itd. Wymienić tu także należy: *La bibliothèque de la seience pittoresque,* która wydała *Histoire d' un morceau du charbon, d' un grain de sel, Sous les flots.* Dzieła te, nacechowane umysłem niezależnym, dostępne są wszelakiej inteligencji. *La bibliotheque des merveilles,* wydawana przez księgarza Hachette, ogłosiła *Le ciel* przez Guillemin, *L' atmosphère* przez Flammariona itd.

Wyliczanie wszystkich dzieł, mających na celu popularyzowanie nauki, byłoby zbyt długie. Nauka stała się podstawą współczesnej filozofji. Uczynić z naukowego traktatu pierwszą książkę dla dziecięcia i zająć jego wyobraźnię nim się upiększy jego umysł, jest zdrowem dziełem. Garściami trzeba rozrzucać naukę.

(C. d. n.)

Wincenty Pol

z osobistych wspomnień

WŁ. BEŁZY.

....— Po raz pierwszy odwiedziłem Pola w 1868 r. w Krakowie.

Nieobecnego w domu, odszukałem w gościnie u państwa T* do których miałem listy polecające z Warszawy. Po przywitaniu się z gospodarzem — zapytałem o Pola.

— Zaraz go będziesz widział, — odrzekł p. T* wprowadzając mię do salonu i wskazał na siedzącego w wygodnym fotelu poetę. Światło lampy padało prosto na jego szlachetne i typowe oblicze, ozdobione prawdziwie sarmackiemi i białemi jak śnieg wąsami. W całej postaci Pola było coś pańskiego, coś rycerskiego — znamionującego umysł podniosły i mimowolnie nakazującego szacunek. Niebieskie okulary przysłaniały mu oczy, dla których i tak światło dzienne oddawna było już zgasło na wieki.

Ze wzruszeniem przystąpiłem do autora „Mohorta“ a przedstawiwszy się mu, podniosłem rękę jego do ust. Pol, objął mię za głowę i pocałował w czoło. Wypytywał następnie z wielkiem zajęciem o Warszawę, o tamtejszą „gwarę“ (jak nazwał) literacką, — a wreszcie zapytał:

— Długo pan myślisz zabawić w Krakowie?

— Dziś jeszcze nocnym pociągiem odjeżdżam do Lwowa.

— A maszże tam znajomych?

— Prawie nikogo; mam tylko list polecający do pana Augusta Bielowskiego.

— No, to ja panu dam jeszcze pismo do p. Godebskiego mojego przyjaciela. — A zwracając się do jednej z córek gospodarstwa dodał: proszę cię kociu, dajno sama pióro i papier i wystaw rekomendację dla tego kawalera.

Za chwilę rekomendacja w jak najpochlebniejszych wyrazach była zredagowaną i podaną Polowi do własnoręcznego podpisu.

— Przepraszam cię kociu, rzekł Pol zwracając się jeszcze do młodej panienki, widocznie swojej faworytki, — pokaż mi gdzie mam podpisać bo niedowidzę trochę — westchnął z gorżkim uśmiechem.

Widok tego miłego dziewczątka, prowadzącego rękę Pola po papierze, i tego starca dającego mu powodować się z całą gołębią ufnością — mimowolnie przywiódł mi na myśl niewidomego Miltona z jego jasnowłosą wnuką.

Rysy tego duchowego podobieństwa miały w sobie istotnie coś łudzącego... Jak wieszcz albioński tak i wieszcz polski ulegli kolejno jednemu losowi. Obaj, wyśpiewawszy swój „Raj utracony“ oślepli pod koniec życia...

— Proszę pana, — rzekł Pol, zwracając się do mnie i podając mi podpisaną przez siebie kartkę, — niech Bóg prowadzi i szczęśliwie doprowadzi. A długo pan myślisz bawić w tym Lwowie?

— To zależeć będzie od okoliczności — odparłem, dwa do trzech miesięcy, nie dłużej wszakże.

— Za powrotem oczekuję Pana u siebie a życzę szybkiego n a w r o t u.

Jakoż prędzej aniżelim mógł się spodziewać wróciłem do Krakowa. Od chwili mego powrotu — aż do nowego wyjazdu za granicę, byłem codziennym gościem Pola. Czytywałem mu wieczorami gazety, — pisywałem dyktowane przezeń listy lub poezje, a nie rzadko, w jasne i ciepłe dni, prowadziłem go na przechadzkę do ogródka Aleksandrowej.

Do dziś dnia, tkwi mi ta chwila w pamięci, — gdy raz prowadząc ociemniałego barda, przechodziłem z nim przez Sukiennice. Wśród gwaru przekupek i kupujących, dała się słyszeć nuta jednej z najpiękniejszych pieśni Pola: „Bracia rocznica...“ Sędziwy starzec zatrzymał się w miejscu, zdawał się pochłaniać każde echo tak dobrze znanej sobie melodji, — a po chwili, zwracając ku mnie twarz dziwnie rozpromienioną — rzekł: „Ten śpiew, to najmilsza osłoda dni moich.“ Nic nie odpowiedziałem; chwilę taką uszanować należy milczeniem. Ze schyloną głową, wszystek zda się pogrążony w przeszłość, szedł poeta, a zdala za nim, dolatywały jeszcze ostatnie słowa piosenki.

Ów ogródek na Wesołej, o którym wyżej była mowa, — w dziejach literatury naszej nie przejdzie bez znaczenia. Był to salon literacki pod wiosennym niebem, — w całej rozległości tego wyrazu. Tu, w cieniu bzów i pachnących akacji, w altanie otoczonej wijącym się bluszczem i dzikim winogradem, — zbierała się cała starszyzna literacka na poobiednią pogawędkę.

Codziennymi tu niemal gośćmi byli: Pol, Kajetan Suffczyński, Kremer, Majer, Skobel, Suchecki, Anczyc, — Józef Rychter art. dram. i inni. Przejezdni literaci tu mieli punkt zborny, — tu się poznawali wzajem i wymieniali zdania i poglądy swoje na bieżącą literaturę.

Tu Pol i Suffczyński opowiadali z pamięci całe rapsody poetyczne — improwizując takowe. Najulubieńszą pogawędkę Pola stanowiły przygody podróżne i myśliwskie; Suffczyńskiego wypadki rewolucji listopadowej, której od początku do końca był aktorem a później historiografem.

Tu dowiedziałem się z ust Pola historji jego „Pieśni Januszowych“ — i dziwnego, rzec mogę cudownego niemal zdarzenia między nim a Zygmuntem Krasińskim.

Oba, o ile mi świeża pamięć służy, powtarzam słowo w słowo.

Po upadku powstania Pol przebywał w Dreźnie. Mieszkał tam wspólnie z księciem Januszem Czetwertyńskim, który wprowadził go w dom słynnej na ówczas pani Klaudji Potockiej.

Znakomita znawczyni talentów, pani Klaudyna, nie mogła niedostrzedz w Polu pewnej dozy weny poetyckiej... Pomawiała go o r o b i e n i e w i e r s z y, — a choć Pol bronił się jak mógł i umiał, wkrótce prawda na jaw wyszła. Książe Janusz podszedł poetę w chwili natchnienia, wydarł mu gwałtem prawie kajet od deski do deski zapisany wierszami i złożył „corpus delicti“ swojej kuzynie.

Pani Klaudyna, zaniosła te wiersze bawiącemu podówczas w Dreznie Mickiewiczowi. Mickiewicz, który już poprzednio znał Pola i z pewnem lekceważeniem go traktował, — teraz, po przeczytaniu pieśni jego baczniejszą nań zwrócił uwagę. Pol dostrzegł wkrótce tę korzystną zmianę, cieszył się z niej szczerze, ale powodów nie domyślał się wcale; brał je za chwilowy promyk, który lada chmurka na nowo zasłonić mogła, — zwłaszcza przy tak ekscentrycznem usposobieniu, jakiemu podlegał podówczas Mickiewicz. Raz jednak, — a było to na jednym z wieczorów, które co tydzień zgromadzały u Adama kwiat inteligencji polskiej, — wielki romantyk nalegany aby odczytał cośkolwiek ze swoich utworów, — podniósł się z miejsca, wziął papier do ręki i czytać zaczął.

Uwaga powszechna zwróciła się na Adama... wszyscy skupili się około niego, a najpilniejszym słuchaczem, jak łatwo dorozumieć się, był Pol. Lecz któż opisze zdumienie Pola, gdy po pierwszym wierszu poznaje utwór własny... Niedowierza sobie, słucha coraz pilniej, a każdy wiersz, każda strofa nabierająca tyle wagi i uroku w ustach Mickiewicza, jak gromy padają na odurzonego i nieprzygotowanego na podobną niespodziankę Pola. To też po skończonem czytaniu, na skroń mu zimny pot wystąpił, zachwiał się i padł na krzesło...

W około winszowano Mickiewiczowi — ale Adam odwrócił się do Pola i rzekł: — Te sukcesa panu się należą. Witam w tobie natchnionego poetę, pamiętaj abyś nie zaparł się świętego ognia, który w sercu żywisz!

Po jedenastej, gdy się już towarzystwo rozchodziło, zatrzymał Mickiewicz Pola: „Nie odchodź, — nalegał, — mam tu na Elbie łódkę, popłyniemy ku saskiej Szwajcarji.“

W towarzystwie gospodarza, księcia Janusza i Odyńca, odbył Pol tę nocną przejażdżkę o której często potem lubiał wspominać.

Owa noc na Elbie nie została zapomnianą... Na pamiątkę tego wydarzenia, pierwsze poezje Pola noszą i m i ę jego przyjaciela. Początkowe „Pieśni Janusza“ rosły wśród gwaru żołnierzy i szczęku oręża. Towarzysze broni śpiewali je w marszu i w bitwie, — i niemi czas skrócali przy biwakowych ogniskach. Kiedy dzielny pułkownik M a t u s z e w i c z, objął dowództwo nad oddziałem, w którym nasz poeta się znajdował, Pol napisał na cześć jego pieśń, poczynającą się od słów:

Wiwat, wiwat wódz nasz nowy,
Matuszewicz piorunowy!

A pieśń ta, wnet się stała groźnym hasłem dla nieprzyjacielskich szeregów. Żałować należy, że piosnka ta doszła nas tylko w początkowym dwuwierszu, — pytałem o dalszy jej ciąg Pola, — ale nie mógł sobie przypomnieć.

Wracając do pobytu Pola w Niemczech, należy wspomnieć o jego odwiedzinach u Goetego. Przybywszy do Weimaru, starał się Pol o zbliżenie do „ekscelencji“ — a że okoliczności przyjaźnie się złożyły, wkrótce też przyjętym został.

Wszedłszy do gabinetu Goetego, zastał go siedzącego przy biórku i zaczytanego w jakiejś grubej księdze. Pol, zrazu nie chciał przerywać — ale gdy czytanie zbyt długo się przeciągało, odkaszlnął, znowu chrząknął — lecz daremnie, — Goete nieodrywał się od książki.

Znudzony długiem wyczekiwaniem, ujął za klamkę aby wyjść, — lecz wraz i Goete powstał od biórka i trochę zniecierpliwiony zawołał żywo:

— Pan jak widzę zbyt jesteś gorący!

— Bo też z ognia wracam — odparł Pol, uderzając się z dumą o piersi na których błyszczał krzyż wojskowy.

Nieprzygotowany na taką odpowiedź, Goete, popatrzył z uśmiechem na młodego wojaka który mu zaimponował, a ująwszy za rękę Pola, grzecznie z nim rozmawiał, wypytując o przeszłość jego, o dalsze zamiary, co tem szczególniejsze, że dumny wieszcz Germanji wcale nie odznaczał się zbytnią uprzejmością. (D. n.)

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Był w tym szwadronie stary szlachcic, niegdyś wachmistrz wojska austrjackiego, czynny i poczciwy człowiek — jemu oddałem komendę koni, dodawszy kilku ludzi częścią wysłużonych żołnierzy, części stajennych ochotników: — umundurowanie i rekwizyta wszystkie robiono w Krakowie. Jakiś stary pułkownik Ł a g o w s k i i podoficer obywatel z Podola Ż a r d e c k i tem się trudnili, biorąc pieniądze z komitetu Legji Nadwiślańskiej. Ale to wszystko szło bardzo opieszale, mało przysyłano, a co przysłali to w bardzo lichym gatunku. Pułkownika Łagowskiego nie znałem; Żardecki zaś szuler z profesji więcej pilnował kart z tą masą próżnujących oficerów w Krakowie jak siodeł i munsztuków. Konie po trochu z Galicji przybywały. Już mieliśmy ich przeszło 40, osiodłania zaś ledwo na połowę. Na tych uczyli się niektórzy ekwitacji ale to szło słabo. Upały były wielkie — więc rano odbywały się mustry i rajtszule, a ja wieczorem zawyczaj do Kurozwęk jeździłem. Wiadomości od głównej armji miewaliśmy i bardzo rzadko i najczęściej fałszywe. Nudny i jednostajny był mój pobyt w Staszowie. Kilku tylko młodych Galicjanów uprzyjemniało mi życie, między innymi było dwóch braci Longchanów, bliźniąt tak do siebie podobnych, że ich trudno było rozeznać, i nie raz z tego powodu zabawne *qui pro quo* się wydarzały. Mieliśmy ze lwowskiego teatru dwóch czy trzech aktorów, z których jeden bardzo przystojny, tęgi i poczciwy chłopiec umarł tam na cholerę.

Pewnego dnia wyjechałem rano żeby konia przejechać za miasto, był to dzień targowy; spotykam chłopca który na targ do Staszowa wiózł furę jabłek; nieszczęściem spotkał go bataljon formującego się 11go pułku strzelców pieszych; ze śmiechem i żartami otoczyli chłopa i zaczęli jabłka kosztować, i po trochu nic nie

płacąc zabierać. Przykro mi się zrobiło zobaczywszy że oficerowie równie się śmieją z chłopa zakłopotanego, który ręce na krzyż założywszy stał smutno na boku. Rozebrali mu wszystkie jabłka, a on stał jeszcze i patrzył na odchodzący bataljon; ja także z daleka przypatrywałem się tej scenie, a jakem się do chłopa przybliżył, ten zdjął kapelusz i rzekł ze łzami: „Panie oficer, kiedy też się już ta rujnacja skończy?“ Miałem przy sobie, jak na jego szczęście, banknotę na 25 zł. pol. dałem mu przepraszając za niegrzeczność piechurów. Ze łzami rzewnemi mi dziękował i błogosławił, a potem nawróciwszy konie i machnąwszy batogiem pędem do domu pojechał. Zbliżał się koniec lipca; głuche wieści dochodziły nas, że moskale koło Kazimierza*) o budowaniu mostu na Wiśle zamyślają, ale temu nikt nie chciał dawać wiary. Ostatniego Lipca były moje imieniny; chcąc się więcej zbliżyć do moich podkomendnych, zaprosiłem cały szwadron na żołnierską wieczerzę do oberżysty Żebrowskiego. Była pieczeń, zrazów, kaszy podostatek, i spory kociołek ponczu; a że cytryn nie można było dostać więc ich miejsce sok malinowy zastępował. Koło 8ej zaczęła się biesiada i przeciągała się późno w noc wesoło. W tem koło 11ej przed północą, przynoszą mi sztafetę pilną od Gen. Weisenhofa z rozkazem, ażeby natychmiast zebrać, co jest gotowe, i wyruszyć dwoma patrolami w stronę, gdzie moskale przechodzić Wisłę mają, i jak najspieszniej zdać o tem raport do niego. Jakem wyżej mówił, połowę koni szwadronowych mieliśmy już umontowanych, a wilję dnia tego przysłano nam z Krakowa 20 siodeł z przyborami, ale jeszcze wszystko dopasowane nie było. Posłałem po burmistrza, który wnet się stawił; wystawiwszy mu w krótkości, że moskale grożą przejściem Wisły, zarekwirowałem, żeby w tym momencie stawili się tu jacy są rymarze, szewcy, krawcy, i żeby dostawił ile możności latarni ze świecami do pasowania rzemieni, czapraków i mantelzaków. Poleciał jak oparzony burmistrz, i po drodze kazał w dzwony na gwałt uderzyć z gorliwości i ze strachu, bo nadzwyczajnie bał się moskali. Zaczęli się mieszkańce zbiegać na rynek i latarnie porozświecano. Porucznik instruktor Chłopicki, wachmistrze, i niektórzy co już w wojsku byli, zabrali się z pomocą rzemieślników do pasowania siodeł i rzemieni. Ja z Szumlańskim ułożyliśmy listę tych, co na tę wyprawę iść mieli, a że niektórzy podoficerowie mieli własne już umontowane konie, więc razem z nimi uformował się oddział z 54 jeźdźców, podzielony na 2 plutoniki, z których z jednym ja pójść miałem z drugim Szumlański. Do wschodu słońca wszystko gotowe było.

Ci co mieli maszerować, poschodzili się a z bronią i mantelzakami; ostatnie dopasowanie się skończyło. Konie przez ten czas obrok w torbach jadły, poczem pomaszerowaliśmy do wody, gdzie napojone zostały. Sformowałem cały oddział i pomaszerowaliśmy razem, do miejsca gdzie się drogi rozchodziły, jedna w stronę Solca druga w stronę Opatowa. Dawszy ostatnie instrukcje Szumlańskiemu, rozdzieliliśmy się.

Trzy doby trwała ta wyprawa, w której się dowiedziałem od obywateli, że w kilku miejscach kozacy przez Wisłę, bardzo płytką po tych upałach, po kilku w pław przeszli, zrabowawszy niektóre nadbrzeżne wioski, nazad się przeprawili i nad brzegami już się nie pokazywali. Że między Kazimierzem a Janowcem przyprowadzili moskale Wisłą galary, na których most miał być zbudowany; że oprócz tego wiele belek i tarcic na prawym brzegu Wisły składają i szaniec przedmostowy w Kazimierzu sypać zaczynają.

*) Kazimierz nad Wisłą w Kongresowej Polsce.

W powrocie do Staszowa, dochodząc w nocy do wsi Planty, należącej do p. Łępickiego, podobno kasztelana zaczęły się zbierać bardzo czarne i ciężkie chmury, pioruny jeden po drugim ciągle waliły, tak że uznałem za dobre kazać lance wziąć grotami na dół, żeby która jak konduktor nie sprowadziła elektryczności. Raptem nastąpiło przerwanie chmury i ulewa kaskadami się puściła; zeszliśmy z drogi i stanęli na gładkiem polu.

W kwadrans prawie woda dostawała do brzuchów końskich; ciemność się wielka zrobiła przerywana tylko ciągłemi błyskawicami. Blisko godzinę trwał ten potop. Zerwał się wiatr zimny, porozpędzał chmury, wody raptem zebrane opadły, niebo się wyjaśniło, i mogliśmy przemoknięci do nitki i zmarznięci, po poprzednim upale, maszerować dalej. Doszedłszy do Planty, zwróciłem ku pałacowi, i posłałem podoficera z zapytaniem czy p. Łempicki jest w domu, sądząc, że rozczulony naszym godnym politowania stanem, pomyśli o pokrzepieniu sił przemokłej młodzieży.

Państwa w domu nie było, wyjechali do Krakowa. Było to na ten czas zwykłe *refugium pecatorum* przed zbliżającą się wojną. Zakomenderowałem więc naprzód; weszliśmy i sformowali się na dziedzińcu, i zarekwirowałem od rządu pałacowego: siana, obroku dla koni, a dla ludzi wódki i chleba.

P. rządca, który oraz był wójtem gminy, wszystkiego co tylko nam było potrzebne dostarczyć kazał; nim konie popasły, to i ciepłe jedzenie wystąpiło. Nie chciał przyjąć wynagrodzenia, ani nawet *bon*. Mówił że ma najsurowszy rozkaz kasztelana, ażeby przechodzące tędy oddziały gościnnie przyjmować i nic od nich nie żądać. Prześliczne słońce z lekkim wiatrem poosuszało nas. Miny bardzo rzadkie po deszczu poprawiły się. Maszerowaliśmy wesoło. Przestawszy kilka godzin upału w lesie, późno już w nocy stanęliśmy w Staszowie; Szumlański już o parę godzin nas wyprzedził. Zdał mi raport ze swego pochodu, a ja natychmiast napisałem raport do gen. Weissenhofa ze wszystkiego co te obydwa patrole widziały i słyszały.

Nazajutrz rano odebrałem grubą ekspedycję z Warszawy, w której był do mnie rozkaz od gen. Umińskiego, ażebym zaraz po odebraniu tegoż stawił się do Warszawy do objęcia służby adjutanta przy nim; oraz zamieszczone w tejże kopercie listy od naszego brata i siostry przez szefa sztabu Brezę. Generał Umiński dostał znowu komendę korpusu, daleko większego jak tego co miał poprzednio. W listach zaś było uwiadomienie, że pieniądze na które oczekiwałem znajdują się w krakowie u Eustachego Skrzyńskiego, co miał moją kuzynkę za sobą. Co tu robić? Namyśliwszy się dobrze, kazałem na samprzód konie przekuć. Napisałem natychmiast z załączeniem kopji rozkazu od gen. Umińskiego do gen. Weissenhofa meldując mu o moim wyjeździe, który tem śmielej zrobić mogłem, że w tym momencie przybył kapitan Osmólski rzeczywisty dowódca tego szwadronu, który mu zdawszy pojechałem na parę godzin pocztą do p. Sołtykowej z pożegnaniem, a wróciwszy z tamtąd, i wziąwszy marszrutę od nowego komendanta udałem się najkrótszą drogą do Krakowa, żeby i pieniądze odebrać i trochę się oporządzić. Żal mi było niektórych kolegów młodych, żal miłego towarzystwa w Kurozwękach a znowu nadzieja wrócenia na linję bojową, nadzieja oglądania mego kochanego Generała, wynagradzała poniesione obecne straty. (C. d. n.)

Z za więziennej kraty.

Poezje więźnia stanu z r. 1846.

IV.

Widok z okna.

U stóp mych szumią latem zielone ogrody, —
A gdzie w jasną pogodę płonie zachód krwawy,
Tam od wieków zasiadła góra Bronisławy
I w swej chwale dwoistej pogląda na wody

Błękitnej Wisły — Karpat błyszczące się lody.
Tam pomnik bohatera wiekopomnej sławy
Krąsi złoty blask słońca — lub księżyca łzawy,
Dalej błonia — po błoniach błąkają się trzody.

Dalej Woli — Łobzowa widne oku mury,
Za nimi łany — lasem przyodziane góry...
Oto obraz — tłem jego niebiosa i chmury.

Na nim tęskna źrenica, chwilkę zawieszona,
Słodki pokój — natchnienie wlewa mi do łona.
Gdybym mógł, cały obraz objąłbym w ramiona!

V.

Wschód słońca.

Nigdy mi wschodni wietrzyk lica nie owionie;
Moja zawsze na zachód otwarta źrenica;
Nigdy się pięknym słońca wschodem nie zachwyca,
Tylko łuną — krwi morzem, gdy za góry tonie!

Pomnę, niegdyś do słońca wyciągałem dłonie;
Gdy na szkarłacie wschodu wyzłociło lica:
Bo mnie się zawsze zdało, że Bogarodzica
W całym blasku zalśniła na ognistym tronie!

I jam wtenczas przyklękał i łzami się zalał,
I Ciebiem, stwórco! pieniem Dawida wychwalał,
I z lżejszem zawsze sercem wracałem do domu,

Niejeden, co mię spotkał, szeptał pokryjomu:
„Patrzcie, jak zamyślony — oby nie oszalał...“
Jam szedł dalej, nie czując ni gniewu ni sromu.

VI.

Niezapominki.

Ile razy odchylę księgę do modlenia,
Tyle razy me oko skarb drogi spotyka,
Pożera go i płynie łzami rozrzewnienia —
Pierś się wzdyma, — dłoń z drżeniem znów księgę zamyka.

O! piekielną katuszą jest chwila wspomnienia,
Kiedy gwiazda pamięci, nie szczędząc promyka,
Wywołuje postacie z grobowego cienia,
A człowiek patrzeć musi, bo widmo nie znika!

Oto stoi przedemną, w skromnej swej sukience,
Kiedy po raz ostatni żegnałem ją samą,
A ona mi to kwiecie na pamiątkę dała...

Jam dziś w więzieniu — ona za wieczności bramą!
A kwiaty — leżą w książce, jak dzieci w trumience,
Jak dwojga ładnych bliźniąt nieskażone ciała.

POGADANKI.

XIII.

Wielka od tygodnia radość między miłośnikami sceny narodowej. Ładnowski wrócił do Lwowa, i objął kierownictwo teatru! Nazwisko to wystarczy do zrównoważenia wpływu pewnych

zbójeckich intryg, któremi nie bez skutku usiłowano podkopać byt zakładu, tak ważnego dla rozwoju ducha polskiego we wschodniej Galicji. Z pobudek czysto osobistych, mała klika nurtująca pod ziemią i nad ziemią, umiała odstręczyć od teatru publiczność zbyt skłonną do chodzenia na pasku. Potrzeba było scenie firmy, na którąby nie śmiały targnąć się nędzne zawiści tego rodzaju. Został jeszcze jeden wzgląd — materjalny. I to próbowano szkodzić, oile szkodzić może rzeczy ludzkiej, sykanie rozdeptanego węża. Jest atoli we Lwowie zbyt wiele żywiołów uczciwych i niezawisłych, by nie można spodziewać się utrzymania teatru pomimo wszelkich przeciw niemu zamachów, wynikających z prywaty. Publiczność wie, że gdyby sprawcy tych zamachów utrzymali się byli przy przedsiębiorstwie, dziennikarstwo niezawisłe nie byłoby im stawiało trudności, ale owszem, byłoby popierało teatr przez wzgląd na jego znaczenie cywilizacyjne i narodowe. Dziennikarstwo dało jawne dowody, że w ten sposób zapatruje się na scenę polską we Lwowie — przez cały czas panowania pp. Dobrzańskich w gmachu skarbkowskim, najzawziętszy z ich przeciwników dalekim był od tego, by pracować nad odstręczeniem publiczności od teatru. Dzisiaj, gdyby jeden lub drugi z tych panów objął dyrekcję na nowo, z góry mógłby być pewnym, że nikt nie będzie mu psuł jego kredytu materjalnego, ani moralnego. Inaczej postępuje „Gazeta Narodowa.“ Przywitała ona Ładnowskiego wyliczeniem długów przedsiębiorstwa — nie w innej myśli, jeno w tej, by ostudzić rozbudzone nadzieje, i wywołać przekonanie powszechne, że teatrowi potrzeba Mesjasza nie artystycznego, ale finansowego, i że Mesjasz ten urodzić się może jedynie w stajence „Narodowej,“ przy jej żłobku, obficie w owies zaprowiantowanym. Postępowanie to jest nieuczciwe, równie jak nieuczciwem byłoby zachowanie się każdego pisma, któreby agitowało przeciw teatrowi, gdyby dyrekcję jego objął p. Jan, lub p. Stanisław Dobrzański. Darować zresztą można ludziom bezpośrednio i materjalnie interesowanym, jeżeli w takich razach powodować się dają własnemu interesowi — darować, albo przynajmniej wytłumaczyć sobie ich zachowanie się — ale czy jest to rzeczą godną szerszego ogółu, i publiczności drugiego co do liczby ludności miasta polskiego, by niechęć jednej rodziny narazić mogła na szwank istnienie takiej instytucji, jak teatr? A jednak — omal tak się nie stało! Gdyby Ładnowski nie był wrócił do Lwowa, to wśród sporu Montecchich i Capulettich, Dobrzańskich i ich przeciwników, teatr mógł doczekać się skandalicznej katastrofy, ku pośmiewisku wrogów naszego bytu narodowego, i to w mieście polskiem, liczącem około stotysięcy ludności! Nie wypada autorowi przytaczać siebie samego, ale nie mogę przenieść na sobie, bym nie powtórzył przy tej sposobności: — „O! Głowy do pozłoty!“.....

* * *

Ładnowski jest nie tylko artystą, któremu należeć się będzie miejsce obok Dawisona, Królikowskiego Jana, i innych gwiazd sceny naszej, co znalazły uznanie za granicą — ale oprócz artysty, mamy w nim człowieka rzadkiego w naszych czasach sposobu myślenia, t. j. człowieka, którego pretensje mniejsze są od jego talentu. Ileż to mierności nie występuje dziś z wymaganiami, którym pospieszają uczynić zadość czołobitne „Głowy do pozłoty!“ Prawie wystarcza chcieć, aby od razu i zostać wielkim człowiekiem na galicyjskiem śmieciu. Kto posiada skromność nieodłączną od talentu i zasługi, ten nie potrafi narzucać się, agitować, wysyłać przyjaciół na prawo i na lewo, by trąbili każdemu w uszy o jego wielkości. Umieją to tylko mierności — ztąd też bierze się ów niepospolity zastęp „naszych“ uczonych, „naszych“ artystów, „naszych“ nakoniec mężów stanu, szewców, literatów, kupców, spowiedników, traktyerników, profesorów, blacharzy i zbawców narodu. Każdy z takich „naszych“ umie urządzić sobie reklamę, nadąć się po nad swoją wartość, uciułać ile mu potrzeba i zniknąć potem w porę. Malarz czy doktor medycyny, wice-buchalter czy książe dorabiający się miljonów, kauzyperda-adwokat czy wikary żądny prezenty na probostwo, wszyscy to umieją. Nierutynowanych w tem rzemiośle, zliczyłbym na palcach jednej ręki. To pewna, że do tych niewielu, należy Ładnowski. Reklamę robi on sobie sam, ale wtenczas tylko, gdy wystąpi na scenie i zmusza zawiść do milczenia. Pod jego przeto kierownictwem, teatr powinien się rozwinąć, albo zwątpić potrzebaby o tem, by Lwów mógł być polskiem miastem póty, póki go jaki nowy Kazimierz Wielki nie zawojuje i przemocą nie spolszczy. Cha, cha — ciekawa rzecz, gdyby nastał taki Kazimierz, ileby też „porcyj“ kazał wyliczyć niektórym „naszym“ na „naszą“ skórę? Zdaje mi się wszelako, że w pewnej parafji „narodowej“ nie obyłoby się bez łaźni, od czasów Chrobrego niezapamiętanej... Ci starzy Piastowie wiedzieli dobrze, czego potrzeba „narodowi.“ Jagiellonowie nie przejęli się tą tradycją, nie wytrzepali licha do reszty, i źle się stało....

* * *

Trzepanie.... „licha“ przypomniało mi „Szpicrut honorowy,“ a ten znowu, Józefa Dzierżkowskiego, jednę z niewielu znakomitości galicyjskich, które przeżyła ich wziętość i sława. Ściśle rzecz biorąc, powiedzieć można, że reputacja jego zaczęła się dopiero po jego śmierci, to jest wówczas, gdy nikt już nie pamiętał lub nie chciał pamiętać człowieka, a każdy przypominał sobie tylko pisarza. Był to talent, który objawiał się w życiu codziennem zupełnie na wzór bohaterów owej *bohême* paryskiej, literackiej i artystycznej, dziś już należącej do wspomnień niekoniecznie godnych wznowienia, ale swojego czasu, stanowiącej *nec plus ultra* „tężyzny,“ jak bałagulstwo za kordonem stanowiło *nec plus ultra* junactwa szlacheckiego. Nigdzie nie mieszkać, nie jeść i nie spać nigdy o porze ogólnie przyjętej, nie mieć pieniędzy, a nawet i pugilaresu, a natomiast pić więcej, niż ludzie posiadający mieszkanie, zegarek, kucharkę, łóżko, pugilares i banknoty — oto zasada, której trzymały się nieraz najlepsze głowy w kraju i za granicą. Myliłby się jednak był mocno ten, ktoby był sądził Dzierzkowskiego z reputacji, o jaką on sam starał się, jak gdyby umyślnie. Był to owszem człowiek wychowany starannie i w dobrym bycie, nadzwyczaj dystyngwowany w swoich manierach, mówiący tak gładko, tak dobrze i elegancko zarazem, że można było poszukiwać jego towarzystwa, nawet w „spelunkach“ w których ukrywał się od czasu do czasu. Mówią, że w przerwach między temi zaćmieniami, jedynym człowiekiem, który umiał zniewolić ś. p. Dzierzkowskiego do pisania, był sławny w tej mierze gwałciciel piór i fantazji autorskich, p. Jan Dobrzański. Nie wiem, ile w tem prawdy, na wszelki wypadek p. Jan Dobrzański miałby ogromną zasługę wobec potomności, gdyby był nie zrobił nic więcej nad to, że wydusił z Dzierzkowskiego trzydzieści kilka doskonałych powieści, które czytano z ogólnem zajęciem, a których dziś już nigdzie znaleźć nie można, nawet u antykwarjuszów. Z tego powodu, zbiorowe wydanie dzieł Dzierzkowskiego, rozpoczynające się z Nowym rokiem pod warunkami dla czytelników „Tygodnia“ i „Dziennika Polskiego“ znacznie ulżonemi, nadzwyczaj wydaje się pożądanem. Wydanie to sprawić powinno nie małą radość także i współ-autorowi, czyli wydusicielowi dzieł ś. p. Józefa, i zyskać większą przecież laskę w jego oczach, aniżeli objęcie dyrekcji teatru przez Ładnowskiego

* * *

Oprócz wielu swoich właściwości, miał Józef Dzierzkowski jeszcze i tę, że nie rozpoczął karjery swojej literackiej od współpracownictwa przy „Gazecie Lwowskiej,“ jak to i dawniej było zwyczajem, i teraz nim się staje, ku ogromnemu niezawodnie pożytkowi przyszłych pokoleń galicyjskich. Każdy przyzna, że pewna tresura urzędowa, że pewne wczesne ujęcie w karby dozwolonych *„von Oben“* zapatrywań się, pewne nakoniec zaregestrowanie młodego literata do jednej z dwunastu „klas rangi“ urzędniczej, oddziałać musi zbawiennie na kierunek jego umysłu i nie pozwoli mu nigdy ani umieć, ani wiedzieć, ani nawet domyślać się tego, co leży po za temi karbami, regestrami i rangami. Każdy przyzna także, iż wpływ wychowanej w ten sposób młodej literatury, niesłychanie w skutkach swoich okaże się skutecznym. Nieokiełznanego, butnego ducha narodowego ujmie on na wędzidło, którego formę wskazuje nam z góry wszechzbawienny ów symhol: „§.“ Wszelka wybujałość przekraczająca zakres tej indywidualnej swobody, jaką mądre prawa zostawiają tak zwanym jednorocznym ochotnikom, tudzież podoficerom c. k. armji, poskromioną będzie w mózgu literata, pracującego na niwie piśmiennictwa ojczystego z jedną lub dwiema złotemi gwiazdkami na aksamitnym kołnierzu u ciemno-zielonego munduru. Jednem słowem, jest to szkoła, w której chowano naszych ojców i stryjów, i w której my z wielkim, da Bóg, dla lojalności potomstwa naszego pożytkiem, poczynamy obecnie wychowywać naszych synów, a *respective*, synowców. Tego też jednego żałuję, przeglądając pisma Dzierzkowskiego, iż nie wyszedł on z tej szkoły — ale owszem, ile sobie przypominam, zapatrywał się na jej mistrzów i adeptów wcale lekceważąco. Z jego to ust słyszałem ową anegdotę o dziennikarzu, nieboszczyku J. J. S. który klął się na duszę i ciało, że nie umie, nie rozumie, i nie chce ani umieć, ani rozumieć nic, jak tylko *„übersetzen.“* Tenże sam publicysta, jak mi opowiadał ś. p. Józef Dzierzkowski, przez piętnaście lat zajmował się w „Gazecie Lwowskiej“ rubryką „Anglja,“ przy której to sposobności trapiła go codzień postać, zwana *Attorney-General* (jeneralny prokurator.)

— Panie Józefie — rzekł raz zniecierpliwiony c. k. publicysta do ś. p. Dzierzkowskiego — przecież takich pieniarzów, jak w Anglji, u nas nigdy nie bywało! Wyobraź pan sobie: od piętnastu lat nie pamiętam, aby się toczył w Londynie proces, w którymby nie brał udziału niejaki jenerał Attorney. I to, proszę pana, dalipan

nie *winkelszrajber*, ani zbankrutowany szlachcic, ale jenerał! Jak babcię kocham, jenerał!

W tejże samej „Gazecie Lwowskiej,“ której nie wolno wspominać o wielu innych rzeczach, wydarzających się pod słońcem bożem, panowała wówczas niesłychana obfitość doniesień z angielskich Indyj Wschodnich. Czerpano je, *comme de raison*, z Gazety Wiedeńskiej, *ober*-urzędowej, a każda z nich zaczynała się od słów: *Bombay*, dnia tego a tego. Ponieważ ramy „Gazety Lwowskiej“ jednego dnia były za szczupłe, a nazajutrz znowu, zbyt obszerne, więc pewna część pracy zecerskiej pozostawała nieraz niezużytą — później zaś, czasem dopiero, gdy się nazbierał zapas z całego tygodnia, nie było czem zapełnić urzędowego organu. Wówczas dyspozytor wołał zwykle na chłopca:

— Staś! Daj-no tutaj trzy cale *bombaju!*....

Ale *tempora mutantur, et nos mutarnowsciamur in illis*. Dziś miejsce *bombaju* zajęły protesta przeciw artykułowi hr. Stanisława Tarnowskiego, i dyspozytor woła:

— Staś! Dajno tam, tak na dwa palce, ambicji szlacheckiej, bo potrzeba szpuntu! Do czego to przydać się może ambicja szlachecka, wprowadzona na drogę ściśle urzędową.....

Jan Lam.

MOI SYNOWIE

WIKTORA HUGO

przekład

WŁADYSŁAWA ORDONA.

(Dokończenie.)

VI.

Zamach dzieci ciemnoty, zarówno dzieci ciemnoty z wyżyn, jak i z dołu. Zamach niewinnych także: bo ciemnota jest niewinnością. Dzika srogość! Kogo żałować? Zwyciężonych i zwycięzców. Och, widzieć na ziemi, walający się, bezsilny, spoliczkowany trup naszej chwały! A prawda, a sprawiedliwość, a rozum, a wolność? Wszystkie te arterje stoją otworem. Puszczono nam krew z czterech wen naszego honoru. A przecież żołnierze nasi bohaterskimi byli i zaiste będą nimi jeszcze. Ale co za spustoszenie! Nic tu nie jest zbrodnią, wszystko fatalizmem. Stare klęski Niniwy, Teb i Argosu, w porównaniu do tego — niczem. Niemasz, ktoby nie nosił swojej rany, a każda z nich jest publiczną. Wśród tego wszystkiego zaś, jak posępny dodatek, nawiedza cię od chwili do chwili ta myśl ściskająca serce, że w tej samej godzinie, o pięć tysięcy mil ztąd, zdala od matek swoich, znajduje się mnóstwo dwudziestoletnich dzieci, skazanych najprzód na śmierć, potem z łaski na galery—za artykuł w dzienniku. O biedna ludzkości! O wieczyste miłosierdzie! Fanatyzmy przeciw fanatyzmom. Niestety, wszyscyśmy fanatykami. Kreślący te słowa jest także fanatykiem, fanatykiem postępu, cywilizacji, pokoju, łaskawości; nieubłaganym dla bezlitośnych; bez tolerancji, dla pozbawionych tolerancji. Uderzmy się w piersi.

Tak jest, te ponure sprawy miały miejsce. Widzieliśmy to, a w tej chwili cóż widzimy? Radość królów siedzących jak kaci na rozćwiartowanem ciele. Po rozdarciu na części często się tak postępuje. I Charlot przykucznął i spoczął sobie na chwilkę na żałośnych szczątkach Damiens'a przed wrzuceniem ich na stos, jak Wilhelm na Alzacji i Lotaryngji. Zresztą Wilhelm nie jest więcej winnym od Charlota: kaci niewinni, odpowiedzialność na sędziach. Historja powie jacy byli, w przerażającym traktacie z r. 1871, sędziowie Francji. Zawarli pokój pełen wojny. Ach, nieszczęśni! W tej chwili panują, książętami są, sądzą się panami. Szczęśliwi całem szczęściem, jakie dać może spokojność urodzona z gwałtu, zdobi ich sława oceanu krwi wylanej, mają się za bezpiecznych od wszelkiej rany, opancerzeni są wszechmocnością i nicością, gotują w pośród biesiad, na świetnem łonie swojej głupoty królewskiej śmierć przyszłości, słysząc o nieśmiertelności narodów, sądzą o niej wedle swego własnego majestatu i śmieją się; uważają się za biegłych morderców i myślą, że im się udało, wystawiają sobie, że to już rzecz dokonana, że dynastje skończyły raz na zawsze z ludami; wyobrażają sobie, że głowa rodu ludzkiego niezwrotnie już ścięta, że cywilizacja zrezygnuje się na to obezgłowienie! Cóż bo to znaczy: jest Paryż, czy go niema?!

Wmawiają w siebie że Metz i Strasburg w mgłę się rozwieją, że kradzież ta pójdzie w przedawnienie, że my się pogodzimy z myślą o niej, że naród wódz stanie się spokojnie narodem niewolnikiem, że poniżymy się aż do zaakceptowania ich przerażającej purpury, że nie mamy już ani ramion, ani rąk, ani mózgu, ani wnętrzności, ani serca, ani rozumu, ani szabli przy boku, ani krwi w żyłach, ani śliny w ustach, żeśmy idjoci i nędznicy, i że Francja, która powróciła Amerykę— Ameryce, Włochy,—Włochom, Grecję—Grecji, nie potrafi powrócić Francji — Francji.

Wierzą w to. O grozo!

VII

A ćma się podnosi, podnosi się podobna do tajemniczego przewodniego słupa, czarna na tle błękitu, czerwona wśród mroku. Powoli zapełnia widnokrąg. Starcy obawiają się jej przez wzgląd na dzieci a dzieci pozdrawiają ją. Złowróżbna nieczułość puszcza korzenie. Urazy knują odwet; najłagodniejsi czują się mglisto nieubłaganymi; wzniosłe popędy braterstwa już nie na czasie; granica staje się znowu zaporą; każdy poczyna znów być narodowcem, a najzaciętszy kosmopolita wyrzeka się neutralności. Żegnaj dobrotliwości filozofów! Pomiędzy człowieczeństwem a człowiekiem staje ojczyzna i wyprostowuje się, straszliwa. Spogląda na mędrców z oburzeniem. Niech się nie ważą mówić jej już więcej o unji, harmonji i pokoju! Nic pokoju — chyba z podniesioną głową! Oto czego żąda ojczyzna. Konkordat ludzkości odłożony. Och co za nędzna przygoda! Terminy wypłaty zbliżają się nieuniknienie, słychać kiełkujące pod ziemią rozsypane nasienie katastrof i po tem rośnięciu, coraz to wyraźniejszem obliczyć można godzinę rozkwitu. Niema środka uniknięcia tej chwili. Przyszłość pełna fatalnych przybyszów. Eschyles gdyby był Francuzem, a Jeremiasz, gdyby był Teutonem,—płakaliby. Myśliciel duma przygnębiony. Co robić?! Czekać i spodziewać się, ale spodziewać się—wśród rzezi. Ztąd przed nim dzikie zamięszanie. Myśliciel, w którym zawsze jest coś z proroka, ma przed oczyma jakiś zamęt. To przyszłość. Szukał wzrokiem poza kresami horyzontu przymierza i zbratania się, a skazanym jest na dopatrzenie się nienawiści. Nic nie ma pewnego—ale wszystko grozi. On myśli i cierpi. Przez marzenia jego o niepogwałcalności życia ludzkiego, zniesieniu wojen, polubownych sądach pomiędzy ludami i pokoju powszechnym przelatują chwilowe mieczów błyski.

Tymczasem ludzie umierają a umierając pozostawiają za sobą innych w płaczu. Cierpliwości! Ci co odeszli, poprzedzili nas tylko. Sprawiedliwem jest, ażeby wieczór przyszedł dla wszystkich. Sprawiedliwem, ażeby każdy z kolei poszedł odebrać swoją płacę. Fawory tutaj tylko pozorne. Grób nie zapomina o nikim.

Jednego dnia, kto wie, wkrótce może, godzina co wybiła dla synów i dla ojca zadzwoni. Dzień robotnika się skończy. I na niego przyjdzie wreszcie kolej, do śpiącego będzie podobnym, złożą go w cztery deski, stanie się tym nieznajomym, którego umarły—zowią. Do wielkiego otworu mrocznego go powiodą. Tam próg zagadki. Na przybywającego oczekują pierwej przybyli. Przyjmują go uprzejmie. Co się zdaje wyjściem, dla niego jest wejściem. Spostrzega wyraźnie, co dotąd w mglistej postaci przyjmował; oko cielesne się zawiera, oko ducha odmyka i niewidzialne widzialnem się staje. To co się nazywa światem, zaćmiewa się dla niego. Podczas gdy cisza panuje w około ziejącego dołu, podczas gdy bryły ziemi —proch rzucony na to co wnet będzie popiołem —sypią się na trumnę głuchą a dźwięczną, tajemnicza dusza opuszcza swoją szatę—ciało i wylatuje świetlista, z tego kłębu ciemności. I wówczas straceni dla niej pojawiają się znowu. Owi prawdziwie żyjący, których we mroku ziemskim zmarłemi się nazywa, napełniają horyzont nieznany, cisną się, tłoczą się promieniści w głębinie utkanej z mgły i zorzy, przyzywają łagodnie przybysza i pochylają się nad olśnioną jego twarzą z owym pięknym uśmiechem, jakiego się nabywa pomiędzy gwiazdami. Tak odejdzie robotnik obciążony laty, zostawiając za sobą może żalu trochę, jeżeli istotnie dobrze czynił, może wilgotne oczy i poważne odkryte czoła odprowadzą go na kraj grobu, a w tejże samej chwili wieczysta jasność przyjmie go w swoje objęcia—i podczas gdy tutaj żałobny obchód trwać będzie, tam, na górze radosny okrzyk wydadzą—oni — moi najukochańsi!

FAUST.

Nowella rossyjska w dziewięciu listach

JWANA TURGENIEWA

przełożył J. Pł......

„Entbehren sollst du, sollst entbehren.“
Fausta część 1.

LIST I.

(Paweł Aleksandrowicz B. do Szymona Mikołajewicza W.)

Wieś M.... 6. czerwca 1850.

Kochany przyjacielu! Bawię tu od czterech dni, i dziś, spełniając moją obietnicę, piszę do ciebie. Kapuśniaczek, który od rana kropi, więzi mnie w pokoju, a zresztą rad jestem, że mogę z tobą pogawędzić. Otóżem znowu w mojem starem gnieździe, którego — smutno powiedzieć — od lat dziewięciu nie widziałem. Wiesz, kiedy się nad wszystkiem zastanowię, wydaję się sam sobie zupełnie innym człowiekiem, zupełnie innym. Przypominasz sobie może owo ślepe zwierciadełko w bawialnym pokoju, ozdobione po rogach dziwacznemi floresami, zabytek pozostały jeszcze po mojej prababce? Nieraz zastanawiałeś się nad tem, na ile to ono rzeczy musiało patrzeć od lat stu. Zaraz po moim przyjeździe spojrzałem w nie i... przeraziłem się, spostrzegłem bowiem

nagle: jak się postarzałem i odmieniłem w ostatnich latach. Prawda, że nie ja sam się postarzałem. Chałupa moja, która była już staruszką wówczas, gdym ją porzucał, ledwie się jeszcze trzyma na nogach i coraz bardziej pochyla się ku ziemi. Poczciwa Wasilewna, moja gospodyni (pamiętasz ją? ta sama, której kompoty tak ci smakowały) zeschła biedaczka na szczypkę i pogarbiła się. Ujrzawszy mnie, nie mogła ani krzyknąć, ani płakać, postękiwała tylko i pokaszliwała, aż w końcu osłabiona padła na krzesło i wyciągnęła do mnie ręce. Stary Terenty trzyma się wprawdzie jeszcze ostro i sztywnie jak dawniej, chodząc rozstawia nogi szeroko, nosi jeszcze zawsze żółte nankinowe pantalony i skrzypiące buty kozłowe z dużemi ostrogami, na które spoglądałeś nieraz z rozczuleniem — ale, miły Boże! jak te spodnie teraz smutnie obwisły na jego chudych nogach! jak włos jego pobielał, jak twarz jego skurczyła się i pomarszczyła! Kiedy mówił do mnie, a potem, kiedym go słyszał jak w przyległym pokoju wydawał rozkazy, i śmiech mnie zbierał, i żal mi go było. Stracił biedak wszystkie zęby i teraz syczy i świszczy co słowo. Zato ogród wypiękniał i rozrósł się do niepoznania. Z owych małych krzaczków bzu, akacji i trześni (pamiętam, jakeśmy je razem sadzili) porobiły się teraz wspaniałe i gęste krzewy. Brzozy i jesiony rozrosły się potężnie wzdłuż i wszerz, ale najpiękniejszą jest aleja lipowa. Lubię tę aleję, lubię jej delikatną, szaro-zieloną barwę i tę woń słodką, jaką rozlewa, i te połyskujące iskry świetlane, jakie przez gęstą oponę jej liści padają na ciemne chodniki; — piasku, jak wiesz, nie ma tu wcale. Ulubiony mój dębczak wyrósł w dąb potężny; długie godziny przesiedziałem wczoraj w jego cieniu. Tak mi było lubo na sercu! w około bujna murawa, po niej rozlane złote, światła smugi, przedzierające się aż do cienistej samotni—a jak cudnie świergotały ptaszki! Wiadomo ci przecież, jak namiętnie lubię ptaki? Gołębie gruchały; od czasu do czasu zagwizdała wilga; kosy kłócąc się świergotały z całych sił; zdala wołał głos kukułki a szpak wydawał hałaśliwe okrzyki. Przysłuchiwałem się tym harmonijnym dźwiękom, zatopiony w słodkich marzeniach, z sercem na poły sennem, na poły rzewnem. Lecz nietylko w ogrodzie podrosło wszystko: co krok spotykam tęgich parobczaków, w których nie poznaję dawnych znajomych mi chłopięcych twarzy. Twój faworyt Piotruś wyrósł na dużego Piotra. Pamiętam, troskałeś się wówczas o zdrowie jego i obawiałeś się u niego suchot. Zdziwiłbyś się, gdybyś ujrzał teraz jego czerwone, potężne, żylaste ramiona, wyzierające z pod rękawów od koszuli. Kark jak u byka, a głowa cała w jasną kędzierzawą porośnięta czupryną — jednem słowem prawdziwy z niego Herkules Farnezyjski. Fizjognomja za to mniej się odmieniła, niżeli drugim; nawet pełniejszą dziś nie jest, i zawsze jeszcze błąka się po niej ów swobodny, ziewający, jak go nazywałeś, uśmiech. Mianowałem go moim kamerdynerem. Służącego, którego miałem w Petersburgu, zostawiłem w Moskwie, zbytnie usiłował dać mi uczuć swą wyższość moralną. Z psów moich nie zastałem już żadnego. Newka przeżył wszystkich, lecz i on nie doczekał mojego powrotu, jak Argos powrotu Odyssa, gasnące oko jego nie ujrzało więcej dawnego pana i towarzysza łowów. Szawka za to zdrów, szczeka jak dawniej ochrypłym głosem i zawsze jeszcze, jako się godzi, ma jedno ucho podgryzione i kołtuny w ogonie.

Zająłem twój dawny pokój. Wystawiony jest na ciągły wpływ słońca i ćmi się od much, ale za to mniej w nim czuć owej ostrej, kwaskowatej, stęchłej woni, niżeli w innych pokojach starego domostwa. Dziwna rzecz! zapach ten potężnie działa na moją wyobraźnię — nie powiem niemile, przeciwnie — ale rodzi we mnie jakiś posępny smutek. Podobnie jak ty, mam zamiłowanie do brzuchatych komód z mosiężnemi skówkami, białych krzeseł z ogoniastemi nogami, upstrzonych świeczników krzyształowych, jednem słowem, do wszystkich starożytnych sprzętów, mimo to jednak ciągły ich widok budzi we mnie jakiś niepokój i nudę. Pokój, który zamieszkuję, jest bardzo skromnie urządzony. W jednym jego kącie postawiłem długą, wąską szafę, na której półkach spoczywa zapylony serwis szklanny, zielonego i błękitnego koloru. Na ścianie zaś kazałem powiesić ów czarny portret kobiecy w ramach, który — pamiętasz? nazywałeś Manon Lescaut. Barwa na licach tej młodej kobiety ściemniała nieco w ciągu tych lat dziewięciu, ale w jej oczach pozostał ten sam łagodny, marzycielski wyraz, a na jej ustach ten sam cichy, smętny uśmiech, a z jej dłoni jak dawniej tak i teraz wypada wpół-odarta róża. Rulety u okien, niegdyś zielone dziś spełzłe od słońca, stanowią dla mnie uciesznią rozrywkę. Rysunki, któremi przyozdobił je jakiś żywą fantazją obdarzony artysta, przedstawiają kilka główniejszych scen z „Pustelników" d' Arlincourt'a. Na jednej rolecie wyobrażony jest ów pustelnik z ogromną brodą, wytrzeszczonemi oczyma i z sandałami na nogach, jak wlecze jakąś niewiastę z rozpuszczonym włosem w swoje góry. Na drugiej wre walka zacięta między czterma rycerzami ustrojonemi w berety, z rozciętemi rękawami. Jeden z nich leży zamordowany na ziemi, *en raccourci* — jednem słowem same okropności, a w około panuje cisza najgłębsza, a przez szpary rolet pada na ściany łagodny odblask słońca. Ja sam, od kiedy tu bawię, najgłębszego zażywam spokoju. Nie czuję ochoty do jakiejkolwiek pracy ani też tęsknoty za ludzką twarzą. O czem mam marzyć, nie wiem; zbyt leniwy jestem, ażeby myśleć, a skorym tylko do dumania — myślenie a dumanie, jak wiesz, jest czemś całkiem od siebie różnem. Najpierw oblegly mnie rojem wspomnienia lat dziecinnych. Każdy krok po ziemi ojczystej, każdy przedmiot, na który padło oko moje, stawiały mi je przed oczy z najdrobniejszemi szczegółami. Potem wspomnienia te ustąpiły miejsca innym... a potem... potem odwróciłem myśl moją od obrazów przeszłości, i ogarnęło mnie tylko jakieś dziwnie słodkie omdlenie i jakiś usypiający urok ścisnął mi serce. Wystaw sobie, siedząc onegdaj na darniowej ławeczce pod drzewem, począłem nagle płakać i byłbym, pomimo lat moich, długo jeszcze tak płakał, gdy w tem spostrzegłem starą wieśniaczkę, ciekawie mi się przypatrującą, która następnie aż do ziemi schylona, z odwróconą odemnie twarzą, przeszła koło mnie. Pominąwszy łzy, ten stan mojej duszy jest aż nader przyjemny i radbym go zachować aż do mojego ztąd wyjazdu t. j. do września. Byłbym bardzo niezadowolony, gdyby mnie który z sąsiadów raczył odwiedzić, sądzę jednak, iż nie mam się czego w tej mierze obawiać, najbliżsi bowiem sąsiedzi moi jeszcze dość daleko odemnie mieszkają. Przekonany jestem, że mnie pojmujesz. Wszak z własnego wiesz doświadczenia, jak błogi wpływ wywiera samotność, a ja jej tak potrzebuję po tyloletnich moich wędrówkach.

Nudzić się nie będę z pewnością. Przywiozłem ze sobą kilka książek a zresztą znajduje się tu wcale znaczna bibljoteka. Wczoraj przeglądałem zapylone i stęchłe półki z książkami i odkryłem wiele dzieł zajmujących, na które dawniej nie zwracałem uwagi. Między innemi znalazłem tłomaczenie „Candide'a" w rękopisie z roku siedmdziesiątego, gazety i dzienniki z tego samego czasu: „Zwycięskiego Kameleona" (Mirabeau), *Le paysan perverti* itp. Wpadły mi także w rękę rozmaite książki dziecinne, które częścią do mnie samego, częścią do mojego ojca, mojej babki a nawet — wystaw sobie — do mojej prababki jeszcze należały. Na jednej starej, odwiecznej gramatyce francuskiej z pstrokata okładzinką stoi wypisane dużemi literami: *Ce livre appartient à Mlle. Eudoxie de Lavrine* a pod spodem rok 1741. Prócz tych znalazłem także książki, które poprzywoziłem niegdyś z zagranicy, a między niemi „Fausta" Goethego. Niewiem czy ci wiadomo, że był czas, kiedy całego Fausta (oczywiście tylko część I.) słowo w słowo umiałem na pamięć i nigdy go się dość nie mogłem naczytać. Ale, inne czasy, inne Muzy — od lat dziesięciu niewiem czym miał kiedy w rękach Goethego. Z jakiemże niewysłowionem wzruszeniem powitałem wczoraj tę małą, tak mi dobrze znaną książeczkę, wadliwe wydanie z r. 1828. Zabrałem ją ze sobą i położywszy się do łóżka, począłem czytać. Jakże głęboko przeniknęła mnie zaraz na wstępie owa wspaniała scena! Zjawienie się ducha ziemi, jego pamiętne ci zapewne słowa:

In Lebensfluten, im Thatensturm,
Wall ich auf und ab.
(Wśród życia fal, dziejowych burz, Przechodzę świat
ten wszerz i wzdłuż)

przejęły mnie dreszczem natchnienia, jakiego dawno już niepamiętam. Książka ta przywołała mi nagle na pamięć Berlin i moje czasy studenckie, pannę Klarę Stich, Seydelmanna w roli Mefista, muzykę Radziwiłła i tyle, tyle innych rzeczy... Długo nie mogłem zasnąć; wiek młodociany stanął przedemną w widomej postaci; nowym ogniem zawrzała mi krew w żyłach, serce mi rosło i rozszerzało się. Jakaś dłoń niewidzialna uderzyła w struny mej duszy, i te rozdźwięczały tysiącem pragnień i żądz tysiącem....

Otóż to takim marzeniom oddaje się twój stary, czterdziestoletni już prawie przyjaciel w swej samotności. Gdyby mnie kto podglądnął w tym obecnym stanie mej duszy, cóżby powiedział! Lecz dlaczego miałbym go się wstydzić? Nieśmiałość podobna właściwą jest tylko młodzieży, a ja, jak uważam, starzeję się. A wiesz z czego to wnoszę? Oto zaczynam pieścić w sobie miłe wrażenia i uczucia a odpychać nieprzyjemne. Za młodych moich lat czyniłem wręcz przeciwnie; wówczas kochałem się w melancholji i strzegłem jej jakby skarbu, każdą myśl weselszą wyrzucałem sobie, uważając ją prawie jakby przewinienie.

Pomimo całego doświadczenia zebranego w życiu, zda mi się, bracie Horatio, że jest przecież jeszcze na świecie coś, czegom nie doświadczył, a to „coś" może być rzeczą najważniejszą.

Gdzieżem to się zapędził? Bywaj zdrów, przyjacielu, na przyszły raz doniosę ci coś więcej. Co porabiasz w Petersburgu? Jeszcze jedno: kucharz mój, Sawely, zasyła ci pozdrowie-

nie. I on się też postarzał i trochę utył i ociężał, co mu jednak wcale nie przeszkadza sporządzać wyborny rosół z kury z cybulką, serzane plaskanki z wyzębionemi bokami i kwaśną zupę ogórkową, ów przysmak stepowy, od którego raz całą dobę miałeś język obłożony. Tylko sznycle robi zawsze zbyt suche, można dzwonić niemi po talerzu, jak kawałkiem kartonu. Raz jeszcze żegnam Cię

Twój P. R.
(C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Już w jesieni r. 1869, kiedy Germania i Hansa właśnie walczyły z lodami, przybyły wiadomości o pomyślnych rezultatach podróży tych statków, które równocześnie prawie z niemi wypłynęły na wody arktyczne. Bradford, zamiłowany w groźnych a wspaniałych widokach arktycznego świata artysta, opłynął, szukając tematów do nowych kreacji, wybrzeża zalewu Baffina, zwiedził fjordy i zatoki zachodnich wybrzeży Grenlandji, stare ruiny normandzkie i kopalnie kryolitu, zapuścił się aż w lody odnogi Melvill i powrócił, przywożąc w zdobyczy opisy, szkice i fotografje, wprost z natury zdjęte, które w przepysznem i kosztownem wydaniu w Anglji zostały ogłoszone. *)

Bienenkorb i Albert krążyły po morzach pomiędzy Grenlandją, Jan Mayen, Spitzbergen i Nową Ziemią, a jakkolwiek oba te Rosentalowskie parowce zajęte były głównie swojem rzemiosłem rybackiem, toć jednak na pierwszym z nich dr. Dorst, a na drugim dr. Bessels poczynili wiele pomiarów głębokości, mnóstwo spostrzeżeń meteorologicznych i magnetycznych i zebrali bardzo cenne wiadomości o posuwaniu się granic zatorów lodowych pomiędzy Spitzbergen a Nową ziemią.

Carlsen, Johannesen, Palliser i Sidorow zastali morze Karyjskie prawie zupełnie oczyszczone z lodów przez burze zachodnie i dotarli bez żadnej trudności aż do ujścia rzeki Ob. Pominąwszy bardzo obfity plon, jakim się kapitanowi Carlsen wyprawa ta wypłaciła, wzbudziła ona nadto jeszcze nadzieję, że przez cieśninę Wajgacz i morze Karyjskie będzie można otworzyć drogę handlową, pomiędzy Syberją a Norwegją, którą Sidorow za tak zyskowną uważał, że już w r. 1862 wyznaczył premią 14.000 talarów pierwszemu statkowi, któryby z zachodu dobił się do ujścia Ob i Jeniseju. „Starając się o utworzenie komunikacji statkami parowemi od Ob i Jeniseju przez morze Karyjskie — pisał on do dr. Petermanna — mam na celu sprowadzać z głębi Syberji do Europy zboże, mięso, łój, skóry, konopie, grafit i maszty. Zamierzam także w ujściach obu tych rzek, które już w czerwcu znoszą lody, zajmować się połowem wielorybów, fok i delfinów, których tu jest wielkie mnóstwo.“ **)

Tak pomyślny rezultat wypraw na morze Karyjskie w r. 1869 ściągnął na nie w roku następnym całą eskadrę norwegskich statków rybackich. Wypłynęli na nie kapitanowie Torkildsen, Ulve, Mack, Quale i Nedrevaag, a Johannesen w powtórnej podróży r. 1870 zapuścił się nawet aż na Sybirskie morze i opłynął całą Nową ziemię, nie spotkawszy nigdzie zatorów lodowych. *) Nowe to doświadczenie stwierdziło niewątpliwie, że okrzyczane dotąd z niegościnności morze Karyjskie jest letnią porą żeglowne, że cieśnina Wajgacz przynajmniej przez 4 miesiące w roku jest otwartą i że statkiem parowym możnaby przebyć drogę z Vordö w Norwegji do wyjścia rzeki Ob w trzech lub czterech dniach. Zachodziło tylko pytanie, czy tak sprzyjające obecnie żegludze stosunki na morzu Karyjskiem stale się utrzymają, co zresztą relacje dawniejszych podróżników o temże morzu i znana wogóle zmienność granic zatorów lodowych na wodach arktycznych podawały w wątpliwość. W razie jednakże, gdyby nie zaszły zmiany i dawniejsze skupienie lodów na tem morzu nie tak prędko przynajmniej powróciło, to plan Sidorowa mógłby być spełnionym i morze Karyjskie mogłoby posłużyć do otwarcia pierwszej drogi handlowej przez ocean arktyczny, której przez 300 lat napróżno szukano. Owszem biorąc na uwagę, że pomiędzy krajem Czukczów w północno wschodniej Azji, a odkrytym przez Kelleta i Longa krajem Wrangla ciągnie się około 20 mil szeroki wolny kanał, prowadzący do otwartego oceanu, do którego Wrangel miał dotrzeć, nie było zbyt śmiałem przypuszczenie, że morze Karyjskie mogłoby się może nawet stać punktem wyjścia do odkrycia północno-wschodniej przeprawy, której bezowocne poszukiwania przez Holendrów i Anglików rozpoczęły historję podróży i odkryć w świecie arktycznym.

Nie tyle wprawdzie namacalnych korzyści i praktycznych widoków na przyszłość, ale za to większy pożytek naukowy przyniosły trzy inne wyprawy tegoż roku: niezmordowanego profesora Nordenskjölda, hr. Waldburg-Zeil z Heuglinem i wielkiego ks. Aleksego z Middendorfem.

Prof. Nordenskjöld udał się w maju r. 1870 z Kopenhagi do Godhaven w Grenlandji. Ztamtąd popłynął z dr. Nordström i docentem Berggren na szalupie rybackiej do fjordu Auleitsivik, mając zamiar dotrzeć aż do ostatnich kończyn tego fjordu, który dotąd tak dobrze jakby zupełnie był nieznanym. Miesiąc prawie przed odkryciem wielkiego fjordu Franciszka Józefa we wschodnich wybrzeżach Grenlandji przez Germanję, d. 19. lipca wysiadł Nordenskjöld na lód fjordu Auleitsivik i puścił się po nim pieszo w głąb kraju.

„Lód był z początku bardzo nierówny — pisze Nordenskjöld **) — tak że już po kilkogodzinnym pochodzie przekonaliśmy się, że ciągnąc za sobą ciężko naładowane sanie, niepodobna nam będzie ruszyć z miejsca. Zdecydowaliśmy się więc zostawić sanie z częścią zapasów, i wziąwszy na plecy co najniezbędniejsze, poszliśmy dalej. Z pół mili jeszcze mieliśmy taką uciążliwą drogę, ale potem począł się lód coraz więcej wygładzać i tylko wielkie po kilkaset stóp głębokie szczerby, które musieliśmy albo przeskakiwać, albo obchodzić utrudniały nam pochód. Wkrótce jednak i te się skończyły i rozpostarty jednolitą szybą lodowiec zrobił się podobnym do rozległej równiny stepowej, podnoszącej się łagodnie falistemi dolinami. Powierzchnia lodu była twarda, ale tak gęsto podrążona okrągłemi dziurami, że trudno się było doszukać wolnego od nich miejsca. Dziury te od 6″ do 2′ głębokie miały dno okryte cienką warstwą gliny, w której Berggren znalazł mikroskopijną brunatną morszczynę. Zkądby ta glina pochodziła, zawierająca niewątpliwie i różne pierwotki, nie mogę sobie wytłómaczyć. Tylko krawędzie lodowca zasypywały moreny i wielkie bloki kamieni. Miejscami zrzucały się ze stromych brzegowisk wspaniałe wodospady, przewalając się z szumem po niebieskich bryłach lodu. Miejscami rozlewały się po lodach różnej wielkości jeziora, a koło jednego wodospadu widzieliśmy piękny wodotrysk, który ciskał w górę w przestankach kilka stóp wysoki promień wody.

Trzeciego dnia podróży odmówili nam nasi grenlandzcy przewodnicy dalszej posługi. Przesądni Grenlandczycy bowiem o ile są odważni na morzu, o tyle przeciwnie boją się lodowców lądowych. Nie pomogły żadne namowy, musieliśmy im pozwolić powrócić. Nie zrażeni tem jednak, zostawiliśmy w miejscu rozstania naszą podróżną kuchnię, aby przynajmniej z powrotem czemś gorącem się posilić, i rozdzieliwszy ich ładunek na siebie, poszliśmy dalej. Idąc tak jeszcze pół dnia, spotkaliśmy pagórek lodowy, który wznosił się około 200′ nad poziom ogólny lodowca i otwierał nam rozległy widok na wszystkie strony. Znajdowaliśmy się tutaj około 2000′ nad powierzchnią morza. Ku wschodowi ciągnął się nieprzerwanie lód w głąb kraju jak daleko mogliśmy sięgać okiem, ale szczupły nasz zapas żywności nie pozwalał na dalszą podróż. Dotarłszy tedy 30 do 40 mil angielskich w głąb fjordu, wróciliśmy z tego miejsca do naszej łodzi. W ciągu całej tej wycieczki niebo było tak pogodne, że mogłem codziennie o południu robić jak najdokładniejsze oznaczenia miejsca. W dzień w słońcu podnosił się termometr do 26° Cel. ale w nocy zamarzała zawsze woda.“

Oprócz bogatych zbiorów przyrodniczych, odkryli podróżnicy szwedzcy olbrzymie aerolity które leżały tak szczęśliwie na wybrzeżu morza koło Ovifak, że mogły być w roku przyszłym osobno po nie wysłanym okrętem do Szwecji sprowadzone.

Wyprawa hr. Waldburg-Zeil-Trauchburg, skromnemi podjęta środkami i na szczupły ograniczona obszar, nie miała zamiaru robienia odkryć, wzbogaciła jednakże nauki przyrodnicze i geografję wielu nowemi spostrzeżeniami i sprostowaniami, które są głównie zasługą uczestnika jej Heuglina, doświadczonego już w wielu podróżach i znanego zaszczytnie z dawniejszych prac swoich w Afryce. *) Udawszy się na południowo wschodnie wybrzeża Spitzbergen, uzupełnili ci podróżnicy dawniejsze odkrycia szwedzkie w tej stronie, porobili dokładniejsze zdjęcia fjordów i cieśnin, rozdzielających wyspy tego archipelagu i zwiedzili w powrocie niezbadane dotąd przez żadnego przyrodnika. Tysiąc wysp i fjord Lodowy. Najważniejszym jednakże rezultatem tej podróży było odkrycie szczerbatych wybrzeży jakiegoś górzystego kraju, który odkrywcy krajem króla Karola nazwali. Jak Petermann twierdzi, jest ten kraj króla Karola tem samem wydłużonem z północy na południe wybrzeżem, które znajdujemy oznaczone na mapie Pellhama pod nazwą kraju Wiches. **)

W. ks. Aleksy Aleksandrowicz odbył na statku *Warjag* podróż do Nowej ziemi i do Islandji. Przebiegając obszary znane, nie zrobiła ta wyprawa żadnych odkryć geograficznych, ale

*) *Globus* XV. str. 351, XVI str. 158.
**) Dr. A. Petermann. *Mittheilungen* 1869. str. 350 i 391.

*) Dr. A. Petermann. *Mittheilungen.* 1871. str. 79 i 230.
**) Dr. A. Petermann. *Mittheilungen* 1870 str. 423 1871 str. 225.

*) Dr. A. Petermann. *Mittheilungen.* 1870. str. 338, 422, 443; 1871 str. 57, 176; 1872 str. 275.
**) Dr. A. Petermann. *Mittheilungen.* 1871 str. 350; 1872 str. 111.

*

Middendorff zasłużył się troskliwem badaniem kierunku golfowego aż do zachodnich wybrzeży Nowej ziemi. (C. d. n.)

Listy z Niemiec.

I.

Listopad w Berlinie.

Jeślim dotąd nie chciał wystąpić jako korespondent w łamach *Tygodnia* mimo wezwań Szanownej jego Redakcji, w uporze tym tkwiła nietylko obawa podołania roli, która w moim pisarskim zawodzie miała być debiutem; z tą bowiem pobudką łączyły się jeszcze, jako ważna siła odporna, przykre uczucia zrodzone pod działaniem elementu, który mi obserwować powierzono. Nie dziw się czytelniku temu wyznaniu. Tyś przywykł do żywiołu niemieckiego — jam weń wpadł niedawno; tyś już oswoił się z wpływami tego bezbrzeżnego oceanu, który się Germanją zowie — ja znalazłem się na nim po raz pierwszy; tyś już doświadczonym marynarzem — ja dopiero przechodzę morską chorobę. I zdaje mi się że musi ją przejść każdy Polak, który w dzieciństwie nie poznał się z temi falami. Obyczajowy barbaryzm synów Germanji, dzikość ich instynktów, egoistyczne skierowanie wszystkich pragnień oszpeconych cynicznym uśmiechem świeżego powodzenia, wszystko to tak polskiej cywilizacji i naturze obce, wywołuje w nas przy pierwszem zetknięciu się z tym żywiołem gwałtowną reakcję. To nie nasze powietrze, nie nasze uczucia, nie nasze serdeczne tętna. Gdyby to przynajmniej tylko te różnice odstręczały! Nikogo nie można winić że jest innym, ale jakże mu darować że jest nieuczciwym!.... Pisać z Niemiec — to straszne! — pióro się cofa przed postawieniem tego wyrazu. Z jakich Niemiec? Czy z tych piaszczystych okrawków przyczepionych do Elby i Wezery, na których się germańskie plemię wylęgło, czy z całego obszaru znaczonego dziś na mapach farbą niemieckiego cesarstwa i będącego potwornym zlepkiem kawałów ziemi podstępem i siłą poobłamywanych różnym ludom? Okropne zadanie, zwłaszcza gdy dziś jeszcze widać krew sączącą się poprzez te szczeliny niemieckiego gmachu, w których owe różnolite bryły niezupełnie do siebie przystają, gdy dziś jeszcze słychać w nim echa dawnych jęków lub brzęk dzisiejszych kajdan. Niemcy!... kto umie powiedzieć, gdzie one się zaczynają a gdzie się kończą — wszyscy umieją tylko powiedzieć, gdzie się wylały. Niech uczciwy i rozumny człowiek sprobuje nakreślić słuszne ich granice, takie granice w którychby żadnej obcej krzywdy nie zagrodził.... co mu wypadnie? Jakaś licha kępa, z której dumny z ogromu swej ojczyzny Prusak nawet Berlina — jej ze słowiańskiego ciała wykrojonego serca — nie zobaczy. Pisać o Niemczech obejmując tym wyrazem wszystko co między Wisłą a Renem się mieści, jest to mimowolnie akceptować nazwę, przeciwko której do dziś miljony protestują. A o proteście tym zapomnieć nie podobna — bo on nawet w swej bezsile ma coś wspaniałego. Nigdy mi nie zatrze się w myśli mistrzowski obrazek Bolesławity w Tułaczach, obrazek przedstawiający polskiego posła na San-Domingo, gdy ten w imieniu rzeczypospolitej wita biedne nasze legjony, wysiadające z okrętu, który je z rozkazu przeklętej dla nas pamięci koronowanego bandyty na zatracenie przywiózł. Trudno bez głębokiego rozrzewnienia wyobrazić sobie tego zapomnianego poczciwca, który zdala od swej ojczyzny protestuje przeciwko spełnionym na niej gwałtom i nie uznaje żadnej siły, która by mu jego konsulowską rolę odjąć mogła. Nawet gdy kłamie, gdy się przechwala, gdy obiecuje zmyślenia — słuchamy go serdecznością — boć on chce uratować honor swej rzeczypospolitej, uratować rację i prawo jej życia. Takimi konsulami z San-Domingo my wszyscy jesteśmy potrosze — choć fakta się spełniły, nie uznajemy ich bytu, nie czujemy się przez nie wytrąceni ze swych praw — protestujemy. I dla tego właśnie może ktoś w nas dostrzegać daremnie szamoczącą się bezsilę — ale każdy uczciwy i rozumny nie odmówi nam współczucia. Zresztą jeśli mowa o Niemczech nie my jedni gnębieni i nie my jedni protestujący. Przez pewien czas przywilej męczeństwa wyłącznie do nas należał, teraz zaczyna się w swobodnej niemieckiej ojczyznie rodzić dla nas pokrewieństwo niedoli. I to bardzo ciężkiej! Bo przysłuchajcie się tylko uważnie odgłosom tłumionej boleści lub rozpaczy dolatującym nas nie z jakichś dzikich stepów; nie od Sawy lub Niemna, ale z oświeconych, wolnością oddawna cieszących się krain Renu. To nic dziwnego, że tam gdzieś w kącie lub na pustkowiu Europy mocniejszy słabszego zamordował — ale że w samym jej środku, można powiedzieć na rynku, w biały dzień w obecności wszystkich narodów dopełniają się takie mordy — to rzeczywiście nawet nas Polaków może dziwić. Na Wołyniu lub Podolu gospodarstwo tatarskie da się wytłumaczyć, ale w Alzacji i Lotaryngji — trudno. Patrząc na ten nowozałożony pod wezwaniem Bismarka szlachtuz, któremu się z ciekawością i podziwem przypatrują mocarstwa Europy — doprawdy bierze chęć nieraz podłożyć szyję pod niezmordowany nóż legalnych oprawców; skończyć to życie któremu losy kazały oglądać tyle zbrodni w samowoli i tyle pobłażania w jej świadkach. Szczęściem, że jak nic w naturze, tak to w historji nie zginie. Oby tylko potomność wierzyć jej chciała! Żyjemy w czasach na których obliczu pewne plamy wydawać się będą późniejszym wiekom niezasłużoną obelgą. Te krwawe dzieje na które dziś patrzymy, dla zdziwionych oczu przyszłości będą tem czem dla nas indyjskie podania. Epoka legend jeszcze nie minęła, bo ta, w której my żyjemy, rodzi dla następnych stuleci mitologję — męczeństwa. Niedawno nasze dzieje dostarczały jej najwięcej bohaterów — teraz zaczyna dostarczać ludność niemieckich „odzyskanych braci" Przybył więc Europie nowy cyrk zbudowany na rozkosznych wybrzeżach Renu, gdzie wygłodzone a dzikie tygrysy z pruskich kotlin rozszarpują bezbronną ludność, wśród poklasku roznamiętnionych tym widokiem tłumów i szyderskiego uśmiechu ich Tyberjusza. Dla cywilizacji i to doświadczenie ma swoją wartość, gdyż te właśnie ludy, które jej główne ognisko obsiadły, nie czuły dotąd, co to jest i czy jest polityczny gwałt i zbrodnia. Kiedy im czasem wschodni wiatr przyniósł kilka naszych skarg i jęków, słuchali tych odgłosów obojętnie, niedowierzająco, bo sądzili, żeśmy rozpieszczeni i grymaśni. Dziś umieją już rozumieć cudze nieszczęścia, gdy się przez swoje z naszemi spokrewnili. Teraz powiedzą: prawda! takie okrucieństwa się dzieją.... przekonaliśmy się na sobie. A rzeczywiście się przekonali. Czytając co pisze głośny dziś w Niemczech kronikarz najnowszej politycznej martyrologji Gustaw Rasch o Prusakach w Alzacji i Lotaryngji [1] zdaje ci się, że to przeróbka krwawych polskich dziejów przechrzczonych i przebranych na niemiecko-francuskie stosunki. Tenże sam ucisk gniotący zwyciężonych, toż samo tyraństwo zwycięzców, też same prześladowania narodowości, języka, obyczajów, praw, szkół, religji, taż sama nienawiść w mordowanych i zaciekłość w mordujących — słowem w każdym rysie zdumiewające podobieństwo dwu potwornych bliźniąt, z których jedno zrodziła niewola nad Wisłą, drugie nad Renem. Czuł to sam autor, gdy spojrzawszy na ten wielki cmentarz, który się Alzacją i Lotaryngją zowie, nie znalazł w pamięci odpowiedniejszego wykrzyku nad sławne *l'ordre regne à Varsovie!* Okropny to *l'ordre* rumieńcem hańby wypalający się na kartach pruskiej historji. Jeśli przyszłe pokolenia synów Germanji będą się starały go czemkolwiek zmazać, to chyba jedynie tym szlachetnym protestem, jaki się dziś najsilniej i najuczciwiej przez usta Rascha wypowiedział. Byłem świadkiem — powiada on — duńskiego ucisku w Szlezwigu i austrjackiego we Włoszech: żaden nie może być porównany z tym, jakim obecnie gnębią Prusacy alzacko-lotaryngską ludność. Stokilkadziesiąt tysięcy „odzyskanych braci" uciekło już do Francji przed okrucieństwem „odzyskujących." Większe miasta do połowy się wyludniły, wartość ziemi i domów spadła do możliwego minimum, bo dobrobyt obu prowincji przez emigrację najbogatszych przemysłowców i posiadaczy zagraża powszechnem bankructwem, rozpacz i materjalna ruina poprzecinały wszystkie arterje życia. Za te krzywdy jednak umieją się męczennicy mścić na swoich ciemięzcach — wzgardą, nienawiścią, odsunięciem się od wszelkich styczności i związków. W żadnem publicznem miejscu — powiada Rasch — nie spotkałem ani jednego Francuza zamięszanego między Prusaków. Ogrody, koncerty, teatr — puste: bo odwiedzane jedynie przez garstkę pruskich rodzin. Będąc w Mühlhausen weszliśmy z moim przyjacielem do bawarni. Po dziesięciokrotnem zaledwie upomnieniu się dostaliśmy piwa. Kazałem sobie podać kotlet — służąca odpowiedziała mi krótko, że żadnych gorących potraw nie przygotowują. — To proszę mi podać, masła, chleba i sera — rzekłem po francusku. — Nie ma — brzmiała równie krótko odpowiedź. — Może jest jakie inne zimne mięso? jesteśmy głodni. — Przykro mi — ale nie mamy. — Chciałbym przecież zjeść jakąś kolację!... To musicie panowie iść gdzieindziej. — Ta dziewczyna, rzekł do mnie Durand — mimo naszego francuskiego języka ma nas za Prusaków. Trzeba iść do innego zakładu, bo tu nic nie dostaniemy. Wstaliśmy. Zapłaciwszy w bufecie dałem służącej pół franka, nie podziękowała mi ani jednem słowem. „Podziękuj że — wtrąciła gospodyni — chociaż ci panowie są Prusakami — dali ci przecież dobry trinkgeld." Służąca nic nie rzekłszy odwróciła się od nas. Wychodząc spostrzegliśmy że na stole w kuchni były przygotowane wszystkie jedzenia, których na próżno żądaliśmy. — Obrazek charakteryzujący warsztat i całą maszynerję inspiracyj dawanych w Berlinie najemnikom prasy, należy do najpiękniej skreślonych i najohydniej piętnujących wizerunków. Pomyśleć tylko, jak to dziennikarskie służalstwo gromadzi się w sekretnej sali, jak z psią pokorą, ze zgiętym karkiem, z gotowem do bezczelności czołem, z wystawioną do przyjęcia śliny twarzą słucha nakazów ministerjalnego radcy, jak się potem kopnięte nogą rozbiega do swych nór i według przepisanej recepty przyrządza dla swych czytelników truciznę z etykietami zdrowia — pomyśleć mówię tylko o tej sterze — dreszcz wstrętu zatrzęsie całą duszą. Jak wyjątkowo upodlonych natur potrzeba do tego rzemiosła, pokazuje następujące, opowiedziane przez Rascha zdarzenie. Pewna bardzo szanowna i znacznego stanowiska osobistość poleciła ministerjum Manteufla swego biednego kuzyna, studenta prawa. Dla wypróbowania zdolności młodzieńca przywołano go jednocześnie z wszystkimi fałszerzami publicznej opinii i kazano mu do rozmaitych gazet napisać sprzeczne z sobą artykuły, tak przecież ażeby w nich ostatecznie odzywał się poklask dla rządu. Długo wzburzony, poczciwy student słuchał tych propozycyj ministerjalnego radcy, ale wreszcie cierpliwość mu się wyczerpała. Spłomieniony gniewem, z rozżarzonemi oczyma krzyknął przerywając mowę urzędnikowi: „Jak pan śmiesz żądać takich podłości odemnie? Atożbym spadł niżej ulicznicy która tylko ciało a nie duszę sprzedaje! Oj panie, zasłużyłeś na to, abym cię wynagrodził policzkiem!" To rzekłszy wyszedł.

Tępienie francuskich elementów za pośrednictwem wprawnych i umyślnie do tego tresowanych urzędników przypomina w opisach Rascha owo polowanie na murzynów odpowiednio wyuczonemi psami. Nigdzie się naturalnie bardziej nie ujawnia jak na polu edukacji. Francuski język usunięty ze szkół całkiem, co więcej — zakazany. Zarząd instytucyj coraz bardziej przechodzi w ręce „odzyskiwających braci." Jakiemi zaś środkami nie pogardzają, niech powie taki przykładowo cytowany przez Rascha wypadek. W grudniu 1870 r. odwiedził przełożoną żeńskiej pensji w Strassburgu nieznajomy, który jej się zaprezentował jako cudzoziemiec zwiedzający dla własnych badań kobiece szkoły i prosił naturalnie ochmistrzynię aby mu swoją pokazała. Dobra kobieta wprowadziła go do zakładu i szczerze odsłoniła wszystkie jego tajemnice. W kilka tygodni potem zjawia się tenże cudzoziemiec, ale tym razem rekomenduje się jako ...... pruski inspektor Schöllenbach przybywający z polecenia ober-prezydenta. Można sobie wystawić zdumienie przełożonej w obec tej metamorfozy, a przedewszystkiem w obec oświadczenia zdemaskowanego pana inspektora, że jeśli szkoła chce się nadal utrzymać musi się poddać reorganizacji. Naturalnie nie było rady: zmieniono plan, wprowadzono do wykładów język niemiecki, ograniczywszy francuski do czterech godzin tygodniowo. W październiku 1871 przybywa zawsze pan Schöllenbach i znowu z poleceniem ober-prezydenta, przyprowadzając z sobą brata dyrektora policji pana Back, którego przedstawia ochmistrzyni jako przyszłego

[1] Die Preussen in Elsass und Lothringien—Braunschweig 1874.

jej współdyrektora. Biedna kobieta i tym razem uległa. Nowy współdyrektor tak dalece nie znał się na obowiązkach swego stanowiska, że obecność jego w szkole przez czas pewien była zagadkową. Wkrótce wszakże rola jego coraz wyraźniej zaczęła się kreślić: nasłany był nie po to ażeby współpracować lecz ażeby zawładnąć pensjonatem. To zadanie spełniał tak umiejętnie, że przełożona pomału straciła wszelką władzę w swoim zakładzie. Nie dość na tem. 30 kwietnia 1872 r. czyta przypadkiem w jednej z gazet że dotychczasowy współdyrektor zamianowany został wyłącznym dyrektorem jej szkoły. Nie pozostało nic innego jak tylko ustąpić. — Tak się odzyskuje braci — po prusku.

Nie zgrzeszy przesadą ten, kto jak Rasch powie że ówi „odzyskani bracia" są dziś na łasce i niełasce swych zwycięzców. 10ty bowiem paragraf alzacko-lotaryngskiej ustawy mówi najwyraźniej, że w razie potrzeby ober-prezydent może się chwycić środków „jakie uzna za konieczne" i w tej wszechmocy ograniczony jest tylko.... powinnością doniesienia o tem kanclerzowi. Tu przypominają mi się słowa jednego ze znakomitych myślicieli. „Policja — mówił on — strzeże, zbawia Europę i pod jej patronatem i opieką stroją trony i ołtarze. To galwaniczny strumień, który gwałtem podtrzymuje życie dla zyskania obecnej chwili. Lecz ogień trawiącej boleści niezgaszony — tylko go wewnątrz wpędzono."

Ta uwaga lekarza-filozofa którąby wypisać można na gmachu całej Europy, odnieść się da przedewszystkiem dziś do Alzacji i Lotaryngji stanowiących między wieloma innemi królestwo policjanta. I to nic dziwnego. Zawsze, po wszystkie czasy gwałtem opanowywane ludy dostawały taką formę rządu, najpowszechniejszą, z istniejących dotychczas będąca wspólnym mianownikiem wszystkich innych. Gdy jeden naród zawładnie drugim posyła mu nie rządców, nie administratorów, nie sądowników, ale pułk policjantów. To mrowisko pruskiej hodowli oblazło właśnie obezwładnione i pokaleczone ciała dwu przygniecionych prowincyj. O bodajby się raczej potruło wysysując wraz z życiem nienawiść swych ofiar, niż żeby historja miała na swych kartach zapisać tę smutną wiadomość: Alzacja i Lotaryngja zginęły stoczone pruskiem robactwem.

Ale powróćmy do Rascha. Spytasz zapewne czytelniku, jaka szczególna potęga osłaniała tego człowieka, że śmiał i mógł pod tronem pruskiego Jowisza wypowiedzieć taki straszny protest i skargę, nie ściągnąwszy na swą głowę mściwego pioruna? Obroniła go moc która rzadko tryumfuje, ale tym razem szczęśliwie zwyciężyła — moc prawdy. Grom już był wymierzony— ona go wszechwładnej bismarkowskiej ręki wytrąciła. Gdy Rasch wydał swą książkę skonfiskowano ją, autora zaś oddano pod sąd. Wezwany do tłumaczenia się, oświadczył, iż jeżeli jednem zdaniem skłamał, głowę swoją odda pod topór. Śmiałe to jednak wystąpienie nie byłoby mu pomogło i nie rozbroiło sędziów. Dopiero gdy na liście świadków tyranizacji, którą opisał, pod pierwszym numerem pomieścił nazwisko Bismarka, już gotów do wydania potępiającego wyroku sąd, położył palec na czole, zamyślił się i uznał że zawiesiwszy proces lepiej wprzódy zapytać się dostojnego świadka. Co ów dostojny świadek na to powiedział odgadnąć łatwo...... Z uwolnienia Rascha. „Najokropniejsza rzecz nie módz" — powiada Wiktor Hugo: przenieśmy uczucie tej niemocy w duszę despoty, który nie cierpi i nie zna oporu, nadto w duszę despoty pokonanego w walce z jakimś tam choćby nawet zdolnym literatem. Nie wiele braknie ażebyśmy się nad nim litowali. Ot niedawno pruski lew jednym zamachem zwalił potężnego przeciwnika i przytłoczył go łapą zranioną kolcem Rascha — przeciwnik zgnębiony a kolca nikt wyjąć nie może.... lew musi kuleć. Przykry i pouczający widok! I nie tylko ów król zwierząt lecz i owe zwierzęta zranione wygoić się nie mogą.— „Francja dostała od Prus policzek" — krzyknął po wojnie wielki poeta: — naśladując go można by powiedzieć: Jeden z Prusaków dał w twarz swej ojczyźnie. Na obliczach narodowo-liberalnej partji odcisnęły się i dotąd niezatarły ślady wszystkich pięciu palców tego uderzenia. Nigdy, nikt nie shańbił ją tak obelgą jak ją Rosch shańbił prawdą. I książka jego może urągając się bezsilnej złości wchodzić jawnie do każdego pruskiego domu, stawać publicznie we wszystkich pruskich księgarniach, zaczepiać swym interesującym tytułem każdego cudzoziemca! Ach, doprawdy serce roztapia się z radości na myśl, że jednak cywilizacja ludzka dotarła już do tego okresu w którym nieszczęście, boleść, krzywda chociaż głośnem słowem poskarżyć się i zaprotestować mogą!

Zestawcie sobie w myśli obok książki Rascha rozrzucony dziś po całych Niemczech ostatni obraz Kaulbacha, który z nią w księgarskich oknach często sąsiaduje a będziecie mieli ten kontrast w jaki dziś zbiegło się całe polityczne życie dorobkowiczowskiego cesarstwa. Z jednej strony bolesna wzgarda duszy uczciwej, z drugiej dziko szyderski uśmiech barbarzyńcy podnoszącego ku niebu nóż dymiący się krwią świeżo zabitej i pod nogą dyszącej ofiary. Czy widzieliście haulbachowskiego archanioła, ów potworny w sztuce usymbolizowany testament wielkiego mistrza z adresem *dem tapfern deutschen Volke*? Przykry widok. Bo to nas nie drażni i nie smuci, gdy ten lub ów służalec polityczny wynajmie się jakiejś niegodziwości ażeby ją przed krótkim wzrokiem świata kosmetykami cnoty wymalować. Ale gdy umysł potężny, śmiały, nienajęty, który przez całe życie kochał i rozsławiał tryumfy swobody ludzkiego ducha, gdy taki, mówię, umysł zamknie swe życie zawieszeniem nimbusu nad pomyślnością rozboju — to przykre i bolesne. Anioł depcący świeckich i duchownych władców jako entuzjastycznie wybrany symbol dla apoteozy niemieckiego bohaterstwa — wstrętny pomysł. Patrząc nań pytasz czy artysta nie skrył w nim ironii szlachetnie oburzonego człowieka? Nie — był tylko upitym szałami powodzenia niemem. Bądźmy jednak sprawiedliwi. Talent poniżył się ale nie skłamał. *Der deutsche Michael* jest prawdziwym wyrazem niemieckiego, albo lepiej pruskiego ducha, który przecież nie zarumienił się nawet wypowiadając przez usta swego Achillesa że „siła idzie przed prawem." Gruby pokost umysłowej cywilizacji dla harmonji i dobrego tonu przyodziany blichtrem obyczajowego poloru — łudzi nas tak dalece, iż w synach Germanji przy pierwszem spojrzeniu nie możemy rozeznać rysów uskrzydlonego w obrazie Kaulbacha korsarza. Odsłońmy jednak te pozory, wpatrzmy się uważniej w zasadnicze instynkta plemienia a z łatwością dostrzeżemy w niem te same uczucia które pulsowały w Cymbrach i Teutonach. To też jeśli chcesz zrozumieć kaulbachowskiego archanioła poszukaj doń komentarza w Tacycie.

Wtedy cię również mój czytelniku nie zdziwi, że tłumy przodowników dzisiejszej cywilizacji mogą wśród dzikich wrzasków skakać około stosu, zapalonego ze wspaniałomyślnej ofiary jakiegoś mądrego patrjoty, który swoim ziomkom w jednem z miast Saksonji taką przyjemność na każdą rocznicę sedańskiego zwycięztwa zafundował. Czy to nie godne owych błogich chwil, kiedy przodkowie dzisiejszych cywilizatorów okryci niedźwiedzią skórą zajadali żołędzie w teutoburskich lasach? Bogaty rycerz z armji Germanika z pewnością szlachetniejszym pomysłem uczciłby wojenne zwycięstwo swego wodza. Czy sądzicie że wielu jest takich, których ten anachronizm barbaryzmu razi? Bynajmniej. Gdy stos zapalą pobiegnie około niego tańcować i wykrzykiwać tak dobrze prosty robotnik jak wyidealniony niemiecką filozofją doktor. Co mówię? gdzieś tam robotnicy odmówili udziału w Sedanfeście, według ich zdania, demoralizującym młodzież — o protestacji uczonych nie słyszałem. Bądź co bądź, ludzi którzyby w ciele Niemiec byli tętnem swobody, moralnego uszlachetnienia, szacunku dla praw cudzych, jest a przynajmniej odzywa się bardzo mało. W wielkiem germańskiem gnieździe Bismark świeżo wysiedział najrozmaitszego gatunku pisklęta i dotąd, choć czasem które się wysunie, natychmiast wraca pod skrzydło swej kokoszy. Ależ przecież nadejdzie ten czas, w którym jedno pójdzie na wodę, drugie na lasy, inne w swoją stronę — i stado się rozbiegnie — tak jak każde tego rodzaju stado. Może niedługo trzeba będzie zawołać: biedna kokosz!

Ale.......

Ze świata naukowego.

Czy znali Fenicjanie i Kartagińczycy Amerykę?

(Dokończenie.)

Bernard de Sahagun, największa powaga między hiszpańskimi pisarzami okresu zdobyczy, którego dzieło Rada dla obu Indji niszczyła z powodu iż pisał przeciw jej polityce wytępienia krajowców, mówi o podaniu zachowanem u mieszkańców Nowej Hiszpanji, twierdzącem jakoby za Atlantykiem, w Florydzie jeszcze przed narodzeniem Chrystusa była kolonja, której osadnicy później w Iukatanie osiedliwszy się wiele miast pobudowali, a z których największa około 1000 roku przed przybyciem Hiszpanów upadła.

Co się wyżej powiedziało popiera przekonanie, że Ameryka już w przedchrześcijańskich czasach jakiemuś ludowi starożytnego świata a najprawdopodobniej Kartagińczykom była znana. Popierają to zdanie także wykopaliska w Ameryce uskutecznione. Znaną już zresztą rzeczą, iż znaleziono na wyspie Trinidad kamień z greckim napisem. 10. Października 1869 r. jednak znaleziono w La Fayette w stanie New-York ważniejszy jeszcze pomnik. Jestto starożytna statua z alabastru więcej jak 10 stóp długa, dobrze obrobiona z napisem 15-głoskowym na ramieniu. Napis ten jest w semickim języku pisany i jak potwierdzają dwaj semitologowie: profesor Ingebolt w Delft i Cohen w Assen znaczy: „Thamuz pan niebios" i pochodzi bez wątpienia z Orientu. Powątpiewać o autentyczności statuy tej mogą ci tylko — powiada dr. Hartogh — co przy wszystkiem amerykańskiem o humbugu myślą — gdybyśmy jednak takie dowody zawsze za humbug uważali, w takim razie odpadłaby wszelka nadzieja zrozumienia początkowych dziejów Ameryki!

Skoro przyjmiemy, iż Fenicjanie i Kartagińczycy znali Amerykę, to tłumaczy się podanie Platona o Atlantydzie samo przez się. Fenicjanie opływając Afrykę mogli być przez prąd równikowy mimo woli do Ameryki zapędzeni. Poznawszy ją raz, odwiedzali ją częściej i zakładali tamże kolonje. Aby kto inny korzyści z tej nowej ziemi nie ciągnął opowiadali Fenicjanie straszliwe o niej rzeczy „Za słupami Herkulesa — mówi pewien kartagiński pisarz— jest wyspa w środku oceanu, bogata w życie roślinne i poświęcona Baalowi Hamonowi. Natura kraju tego jest straszną, gdy bowiem okręt zbliża się do wyspy podnoszą się wody ją otaczające straszliwie, podczas gdy ocean jest spokojny". Jeszcze później polecano Kartagińskim admirałom zatapiać obce okręty, któreby poza słupami Herkulesa krążyły.

Po drugiej punickiej wojnie ograniczono flotę Kartagińczyków na kilka okrętów a Rzymianie zdobyli Hiszpanję. Kartagińczycy nie płynęli więc już od tego czasu do Ameryki, a kolonje te wytępione zostały przez mieszkańców. Że zaś Rzymianie o tych odkryciach nie wiedzieli, a ztąd nam prawie żadnych nie przechowali wiadomości, wytłumaczyć się da powodami, iż o drogach handlowych tylko majtkowie wiedzieli, którzy w najgłębszej trzymali takowe tajemnicy, że z 700.000 mieszkańców Kartaginy przy zburzenin 650.000 zginęło, a z stolicą i cała literatura zniszczoną została — że karty kolonji Kartagińskich przechowywane w świątyni Baala Hamona wraz z nią się spaliły i że Rzymianie zanadto wiele mieli do czynienia z podbiciem ludów morza śródziemnego, aby mogli sięgać po oddaloną Atlantydę. Że jednak nie byli bez pewnych wiadomości tośmy się wyżej wykazać starali.

Słyszeliśmy dotąd wywody dr. Hartogha, teraz trzeba nam przejść do odpowiedzi dr. Frantziusa. Uczony ten zapytuje gdzie się podzieli dziś zwolennicy tej nie nowej teorji? Na rzekome głowy słoniów na wykopaliskach w Palenque odpowiada, iż w dziele na które się dr. Hartogh powołuje, głowy te tylko w fantazji istnieją, gdyż w dziele Stefensa, który kilka lat później te same wykopaliska odkopywał, wyglądają one prędzej na głowy człowiecze, przyczem podania starożytnych przez dr. Hartogha przytoczone z niewiadomych powodów opuszcza. Zresztą mogą to być mastodony, powiada dr. Frantzius, nie odpowiadając wcale na przywiedziony przeciw temu domysłowi dowód dr. Hartogha. Znaleziona w r. 1869 statua nie dowodzi niczego, gdyż czaso-

pismo, które o tem podało wiadomość nie oznaczyło, czy znaleziono ją w pokładzie, któryby odpowiadał ilości przytoczonych przez p. Hartogha 2000 lat — co zaś do prawdopodobieństwa, to wprowadziło ono już nieraz zawołanych antropologów na zupełne bezdroża. Nie zaprzeczając wcale możliwości przepłynięcia Atlantyku przez Fenicjan, sądzi dr. Frantzius, iż oświata dopiero przez długie lata da się zaszczepić i że przypadkowe rozbicie okrętu tejże na wyższy stopień u pierwotnych mieszkańców Ameryki posunąć nie było w stanie. Gdyby zaś stałe się te podróże do Ameryki odbywały to przecież — kończy dr. F. — wiedzielibyśmy o nich — wszak wojny punickie nie leżą znowu w przedhistorycznych czasach!

Nie badaliśmy tej kwestji źródłowo, zdanie nasze więc ograniczyć się winno na rozważeniu powyżej przytoczonych dowodów i przeciwdowodów. Najważniejszym bez zaprzeczenia, przez p. H. przywiedzionym dowodem są podania starożytnych, które dr. Frantzius bez odpowiedzi zostawił — czy nie uważał za stosowne odpowiadać czy przeciwdowodów nie miał, nie wiemy — dość że milczenie to w obec faktu iż redakcja Archivu, w której skład najznakomitsi wchodzą antropologowie, niejako milcząco na pracę Dr. Hartogha się zgodziła, bardzo zagadkowo wygląda. Fakt iż dziś mało uczonych na to zdanie się zgadza, nie dowodzi niczego; bo wieleż to teorji w pewnym czasie za mylne uznanych (wspominamy tu tylko o znanej starożytnym teorji kulistości ziemi) nabrało życia dopiero przez nowouzyskane dowody lub podniesienie tychże przez genjusza! Na odpowiedź, iż lby te nie są słonia ale głowami ludzkiemi, nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć, bośmy dzieła Stefensa nie czytali — że atoli płaskorzeźby odrysowane w rozprawie dr. Hartogha przedstawiają głowy słoniów na to nie potrzeba nawet być antropologiem z powołania — a przecież trudno przypuścić, żeby dr. H. takowe sobie wyfantazował a redakcja Archiwu bez poręki do swego pisma przyjęła. Zarzut co do mastodonów zbił już dr. H. w rozprawie jakby przeczuwając zarzut. Co do pokładu, w którym owo bożyszcze semickie wykopano, to już tem zbił Hartogh zapatrywania Frantziusa, iż leżało ono zarośnięte drzewami od bardzo wielu lat. Alfabet semicki znany zaledwie od 30 lat, przeto trudno aby ktoś napis na bożyszczu np. przed 50 laty sfałszował alfabetem, którego jeszcze nikt nie znał. Dr. H. nie twierdzi wcale, jakoby te podróże odbywały się stale, że jednak Fenicjanie mogli założyć w kraju odkrytym kolonje, tego dr. F. nie zbił, a dr. H. wcale nie twierdzi aby kultura przybyszów na mieszkańców pierwotnych wywarła jakikolwiek skutek.

Zdaje się, iż po tym artykule, napisanym przez dra Hartogha w Zontoveen, wysoką znakomitość na polu antropologji, ożywi się dyskusja nad tym przedmiotem — my też nie omieszkamy od czasu do czasu zawiadamiać czytelników o rezultatach w miarę ukazujących się w tym przedmiocie artykułów.

R. M.

O meteorytach, bolidach i gwiazdach spadających

napisał

Dr. W. URBANSKI.

(Ciąg dalszy.)

W ostatnich latach dwa bardzo ciekawe meteory tego rodzaju zwróciły na siebie większą uwagę, ognisty meteor t a d j e r s k i i deszcz kamienny p u ł t u s k o s i e l e c k i. Pierwszy widziano dnia 9. czerwca 1867 r. we wielu miejscowościach Algierji między 10 a 11 godziną w nocy. Najprzód jasne światło zabłysło na niebie, a potem dał się słyszeć silny huk wystrzałowy. W Tadjera i w całej okolicy koło Guidjell zrobił się naraz biały dzień i ujrzano jasną bryłę, spadającą z nieba, która przed dotknięciem ziemi, rozprysła się na jasne kawałki śród wspomnianego huku. Jeden taki kawał uderzywszy o ziemię, wyżłobił na jej powierzchni 1000 metrów długą bruzdę, czego w takich wypadkach dotychczas jeszcze nigdzie nie uważano. Największy kawał meteorytu ważył 5·76 kilogramów, a odłamowa jego powierzchnia miała jednostajną barwę czarną, w niektórych miejscach poprzerywaną błyszczącemi ziarnkami siarku żelaza i połączenia niklu z żelazem. Nie było na nim zwykłej czarnej skorupy, a to prawdopodobnie dla tego, że należy do minerałów trudniej topliwych niż augit i szpat polny, gdyż kawałki jego przy próbach dopiero w temperaturze topniejącego żelaza w stan płynny przechodziły.

Deszcz kamienny w Sielcu koło Pułtuska spadł wieczorem 30. stycznia 1868 r. O trzy kwandranse na siódmą ukazała się nad Warszawą ognista kula w wielkim blasku, biegnąca szybko na pogodnem niebie od południowego zachodu na północny wschód. Pojawiła się blisko głowy Andromedy, jako gwiazda pierwszej wielkości i rosła w oczach raptownie tak, iż przechodząc południk warszawski zdawała się mieć 15 do 20 minut łukowych w średnicy. Szlak jej poprzed Kassiopeę, Cefeusza, Smoka i Wielką Niedzwiedzicę znaczyła wielka wstęga światła 9 stopni długa a 2 stopnie szeroka. Początkowe światło bolidu, do blasku gwiazd podobne, zmieniało się stopniowo z rosnącą jego średnicą w niebieskawo zielone, a następnie w ciemno czerwone, a jasność tego ostatniego była tak niepospolita, iż ludzie z domów wybiegali na ulicę w mniemaniu, że to łuna wielkiego pożaru, powstałego w sąsiedztwie.

Ognisty ten meteor widziano równocześnie w Gdańsku, Poznaniu i Krakowie, tudzież w Pradze i Wiedniu, w Grodnie i Dorpacie. Z dokładniejszych obserwacji, zrobionych w niektórych tych miejscach, obliczono chyżość jego biegu w atmosferze ziemskiej. Była ona bardzo znaczna, bo 6·6 mil na sekundę przypadało.

We trzy dni później dowiedziano się w Warszawie, że koło Pułtuska, głównie na polach wsi Sielce, (około 11 mil na północny wschód od Warszawy) spadło wiele kamień „z nieba". Zaraz wysłano tam profesora Babczyńskiego wraz z adjunktem obserwatorjum astronomicznego dla zbadania bliższych szczegółów tego ciekawego zjawiska. Ci sprawdzili na miejscu przez naocznych świadków, że w owym dniu około siódmej godziny wieczorem także w okolicy Pułtuska widziano kulę ognistą na niebie, która na kształt wielkiej, coraz bardziej rosnącej gwiazdy biegła szybko w kierunku od południowego wschodu na północny zachód, ciągnąc za sobą wstęgę iskier, tumanem światła otoczoną. Jasność raziła oczy, dopóki ognista kula nie znikła. Wtenczas zaczęły spadać świecące punkta, a na ich miejscu ukazała się jasna strzępata chmurka, z której po chwili dał się słyszeć kilkakrotnie huk wystrzałów armatnich wraz z przeciągłym pół minuty trwającym łoskotem ciężko naładowanych wozów, idących po murowanym a nie gładkim gościńcu. Widowisko to zakończył świst i szelest spadających kamieni w okolicznych wsiach, na brzegu Narwi położonych, przyczem łatwo było rozróżnić ich uderzenie o lód i ziemię i o wodę, stojącą podówczas na łąkach. Jasny więc bolid i tu wśród gwałtownego wybuchu rozbił się na mnóstwo kawałków (od 2 do 3 tysięcy), które rozsypały się na obszar około 16 kilometrów kwadratowych wynoszący, najgęściej na polach wspomnionej wsi Sielce. Zebrano przeszło 400 odłamów. Największy ważył $9\frac{1}{2}$ funta, trzy mniejsze po 5 funtów, a wszystkie inne po 1 do 2 funtów. Całą masę spadłego meteorytu obliczono na 1000 do 1200 funtów, — rozumie się tylko z przybliżeniem, bo bardzo wiele kamieni wpadło do wody w rzece i na łąkach. W dwóch kawałkach znaleziono węgiel podobnie jak w kamieniach spadłych koło Orgueil. Rozpęknięcie wielu kamieni nastąpiło tu niewątpliwie przed utworzeniem czarnej skorupy, gdyż niektóre z nich miały na powierzchni odłamowej widoczne ślady stopnienia. Są też ślady, że kamienie spadając uderzały o siebie. Końcowa chyżość spadku była stosunkowo mała. Bolid ten cały pochodził z bardzo twardej skały i był na kawały rozbity, zanim zdążył do atmosfery ziemskiej. Zdaniem Hajdingera huk słyszany nie pochodził tu z wybuchu, lecz był jedynie skutkiem raptownego zapełniania powietrzem tej próżnej przestrzeni, która za bolidem bardzo prędko pędzącym, koniecznie powstawać musiała, dopóki planetarna chyżość jego nie zniweczyła się oporem powietrza i nie nastąpił spadek teluryczny.

(Dok. nast.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Kalendarz gospodarski dla kobiet na rok 1875. Ułożony staraniem redakcjl Przeglądu Tygodniowego. Warszawa. 1875.

„Pojmując poważnie obecny ruch w kwestji kobiecej, pragniemy wydawnictwem niniejszego kalendarza, pomódz praktycznie naszym niewiastom na drodze pracy i spełnienia zacnych ich obowiązków". Takie zadanie położyło sobie wydawnictwo tego kalendarza i otwarcie przyznać musimy, wywiązało się świetnie. Ta publikacja może podnieść zdyskredytowaną szczególnie w Galicji literaturę kalendarzową. Podstawy wiadomości i zajęć, stanowiących niejako przyrodzony obszar działalności kobiecej znalazły tu dość obszerne uwzględnienie. Po dziale zwykłym kalendarzowym następuje najsamprzód dział wychowawczy, w którym wyłożono nauczanie własnych i obcych dzieci. Znajdzie tam troskliwa i o zdrowie swych dzieci dbająca matka, praktyczne wskazówki, jak należy urządzić pokój dziecinny, uwagi o bieliźnie dziecinnej, kołysce i pościeli, dalej jak powinne być sporządzone krzesełko, stoliczek i inne sprzęty, jakie mają być zabawki; dalej umieszczono naukę poglądu i traktat o rozwoju zmysłów itd. Rozdział ten opracowany na podstawie dziełka prof. Ferdynanda Stemma, które to dziełko było dokładnem sprawozdaniem z „Pawilonu małego dziecka" stanowiącego część wystawy wiedeńskiej. Po dziale wychowawczym następuje medycyna domowa i hygjena a w niej: apteczka domowa, uwagi o kąpielach, hygjenie zębów i leczeniu niektórych chorób osób dorosłych środkami domowemi. Dział: „Gospodarstwo kobiece wiejskie" — traktuje o ogrodzie, o przyrządach, narzędziach i naczyniach ogrodniczych, o kurniku i produktach z kur otrzymywanych, o chowie bydła, pszczół itd. ogółem o przemyśle wiejskim. Liczne ilustracje uzmysławiają w tym dziale najnowsze przyrządy i wynalazki. Najobszerniej jest wyłożone gospodarstwo domowe, w którem nietylko mowa o spiżarni i kuchni, pasztetach i jarzynach, ale także o urządzeniu pokoju, salonu, jadalni, garderoby i toalety wiejskiej. Do każdego z tych działów dołączono bibljografję dzieł polskich dla chcących zasięgnąć gruntowniejszych w tym względzie wiadomości. Ostatni nareszcie dział poświęcony bibljotece kobiecej z przyjemnością wspomina na samym wstępie że niewiasty polskie czytają.... Czy to samo możemy już powiedzieć o naszych?

— Stan moralny społeczeństwa naszego na podstawie wykazów statystycznych karnych przez B. Warszawa. 1874.

Statystyka sądowa, szczególniej kryminalna podaje nam bardzo ważne wskazówki dotyczące moralnej strony społeczeństwa, im więcej przeto danych statystycznych, tem większe prawdopodobieństwo wniosków ztąd wyprowadzonych. Wykazy statystyki kryminalnej Królestwa polskiego rozpoczynają się dopiero od r. 1816, jednak aż po r. 1847 albo wcale nie ma klasyfikacji przestępstw, lub też jeśli jest, sporządzano ją corocznie podług od-

miennej skali. Sprawozdania z lat 1848—1864 są już dokładniejsze, choć smutnej pamięci lata 1860—1864 wiele pozostawiają do życzenia. Dopiero w r. 1865 zaprowadzono jednolite postępowanie. Na danych też z ostatnich 8 lat jest ta praca głównie opartą choć nie mniej zawiera wykazy od r. 1816. Pracę powyższą podzielił autor na dwie części: 1sza obejmuje czyny kryminalne i wypadki rozpoznaniu sądów karnych podlegające, 2ga zaś opisuje różne klasy podsądnych, jak obwinionych w ogólności, tak w szczególności skazanych.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Na medal pamiątkowy na uczczenie włościan podlaskich, złożyli u nas w tym tygodniu: Pani Bogdanowicz z Dżuryna na 1 medal, p. Katerla 1 medal, Józef Rogosz w imieniu Redakcji „Tygodnia" 2 medale; z poprzednio wykazanemi na 7 medalów po 3 złr. razem 21 złr.

— Jak się dowiadujemy, z inicjatywy krajowej Rady szkolnej, a za przyzwoleniem ministra oświecenia, ma być utworzona na uniwersytecie lwowskim katedra geografji, której brak dotkliwie czuć się dawał. Senat akademicki szukając odpowiedniego kandydata, dowiadywał się we Wiedniu, Berlinie, Warszawie, a nawet Petersburgu, czy nie znajdzie się jaki Polak, któryby odpowiednio mógł objąć tę katedrę. Jak z jednej strony bezinteresowne to postępowanie zasługuje na wielką pochwałę — tak z drugiej znowu strony Senat akademicki nie weźmie nam za złe, jeżli zapytamy, czy między nami nie ma człowieka, któryby mógł kompetować o tę posadę, i czy koniecznie potrzeba było szukać go za granicą? Wiadomo wszystkim, że p. Łucjan Tatomir, zajmujący się dziś wyłącznie geografją, należy w Polsce do sił nadzwyczaj rzadkich na tem polu, a jego ostatnia praca: „Geografja Galicji" o której pisaliśmy swego czasu, chlubnie świadczy o pracy autora i znajomości przedmiotu. Jeżeli po dziś dzień, nie mając może potemu środków i sposobności nie napisał jeszcze takiego dzieła, któreby mu bez dyskusji zapewniało katedrę uniwersytecką, to zdaje nam się że Senat może i w tym wypadku poradzić. Wszakże uniwersytet Jagielloński wysłał p. Czerniego za granicę, aby mu za powrotem powierzyć taką samą katedrę. Nie szukajmy zatem bogów cudzych, ale starajmy się jak najlepiej spożytkewać własne siły.

Dalecy od wszelkiej reklamy, piszemy te słowa, nie dla tego, że p. Łucjan Tatomir należy do naszych współpracowników, bo tego rodzaju względami nigdy się kierować nie będziemy, ale ponieważ nam to słuszność nakazuje.

Literatura i sztuka.

— Druk „Sobótki" księgi zbiorowej dla Seweryna Goszczyńskiego już się rozpoczął. Dzieło drukuje się w oficynie K. Pillera i zawierać będzie 30 arkuszy ścisłego druku in 8. Maj. W układzie Sobótki, przyjęli udział prawie wszyscy pierwszorzędni nasi pisarze, którzy w hołdzie jubilatowi złożyli do tej księgi następujące prace: Giller „Żywot Sew. Goszczyńskiego"—Ujejski „Na zgon poległych w Irkucku"—Kantecki „Poselstwo Moskiewskie do Warszawy w r. 1650."—Kraszewski „Z Dantego"—Kohn „Na cześć Goszczyńskiego"—Libelt „Swiatło jako środek utrzymujący przeszłość w teraźniejszości"—Sabowski „Co pierwej było ziemia czy słońce?"—Marja „Wiersz"—Martynowski „O koronacyjnych obrzędach w Polsce"—Lenartowicz „Z poematu Jung Blankenheim"—Limanowski „Prawa Platona"—Wilkońska „Paola powieść"—Jakubowicz „Wieczór w kuźni"—Ordon „Dwie poezje"—Amborski „O Beranżerze"—Grudziński „Ecce dolor"—Kulczycki „Na ruinach Ancjum"—Stella Sawicki „O Kownie"—Stefan z Opatówka „Poezje"—Buława „Poezje"—Uriela „Nad Gopłem"—Korzeliński—„Wyjazd na miejsce internowania"—Jeż „Pan Józef Kalasanty powieść"—Bodzantowicz „Marszałek Sanocki"—Zaleski Bogdan—„Z poślednich dum"—Rembowski „Pieśń przy gwiazdach"—Julian z Poradowa „Idea"—Wolski Kalikst „Dni odrodzenia"—Czerwiński „Kwiaty Heliogabala—Kościelski „Poezje"—St. Suffczyński „Gość z nieba"—Bełcikowski „Kmita i Bonarówna dramat"—Bełza „Dziwadła literackie studium"—Ely „Powrót do domu"—Machczyńska „O cierpliwości"—Dnchińska „Zaklęte słowo"—Bezimienny „List z nad Niemna"—Dr. Kętrzyński „Wiadomość o powstaniu w 1796 r."—Żuliński „O potrzebie wydawnictw popularnych"—Kalina „Urocze chwile" Ciesielski „W obozie i w bitwie"—Grzegorzewski „Rzut oka na niemczyznę w miastach naszych"—Buszczyński „Cywilizacja niemiecka na ziemiach polskich—Zacharjasiewicz „Tajemniczy produkt, powieść".

— W pięknym magazynie pp Moussyl i Wilhelm przy placu Marjackim we Lwowie, oglądaliśmy olejny oryginał Artura Grottgera, przedstawiający Barbarę i Zygmunta. Jak wszystko co wyszło bądź z pod ołówka, bądź z pod pędzla tego mistrza, nosi na sobie cechę genjalności, tak i ten utwor uderza zaraz na wstępie głębokością psychiczną, a chociaż brak mu jaskrawego kolorytu, za którym tegoczesny widz przepada, mimo to obraz należy do celniejszych w dziedzinie naszego malarstwa. O ile nam wiadomo można go nabyć za cenę bardzo umiarkowaną. Przypominamy to naszym panom. Przy tej sposobności wypada nam zanotować, że wiedeńscy nakładcy Miethhe i Wawra zaczęli wydawać w pięknych fotografiach wszystkie skice, które po Arturze Grottgerze zostały niewykończone w tece. Dotąd wyszła jedna serja, złożona z 17 kartonów. Wspaniały jest „Chłopiec śpiewający" nie mniej pięknie obmyślona „Córka króla Popiela" a „Wieśniacy" składający ofiarę Chrystusowi w dzień jego urodzin, tworzą jedną z najpiękniejszych kompozycji. O ile nam wiadomo mają wyjść trzy serje szkiców. Po ich wydaniu napiszemy o nich obszernie, uzupełniając w ten sposób nasze studja o Grottgerze.

— W piątek d. 18 bm. odbędzie się w teatrze hr. Skarbka, na dochód Czytelni akademickiej, przedstawienie amatorskie w połączeniu z koncertem pod kierownictwem p. K. Mikulego. Spodziewamy się że publiczność licznie do teatru pospieszy, na co pięknie rozwijająca się „Czytelnia" ze wszech miar zasługuje. Amatorowie odegrają: „Juliusza Cezara" Szekspira, akt III „Dwie wdowy" komedję z francuskiego przez Mällefille i „Doktora medecyny" komedję Korzeniowskiego,

— We Wiedniu zaczęło wychodzić nowe pismo gospodarskie pt: „Oesterreichisches Landwirthschaftliches Wochenblat." Między współpracownikami znajduje się także nazwisko p. Z. Strusiewicza, dyrektora szkoły rolniczej w Dublanach.

— Otwarcie nowej opery w Paryżu dało powód do żywej międzynarodowej kwestji, a mianowicie chodziło o to, jakim utworem rozpocząć przedstawienia nowej opery: francuskim czy obcym. Jedni twierdzili, że honor ten należy się któremu z francuskich mistrzów, inni, że przeciwnie Francja dowieść tutaj powinna że nie przestała być ogniskiem i stolicą wszystkich wielkości, szczególniej na polu sztuki i rozpocząć utworem obcego kompozytora. Ten ostatni wzgląd przeważył i wybrano Meyerbeera, którego talent zresztą do Francji najwięcej prawie należy, bo tam on do pełnego majestatu swego się rozwinął i najpiękniejsze dzieła swojej dla francuskiej opery utworzył.

— W Peszcie pojawiło się właśnie dziełko w niemieckim, angielskim i francuskim języku, napisane przez profesora Vambery, które nosi tytuł: „Islam w XIX. stuleciu. Studjum nad obecnym stanem cywilizacji w Azji mahometańskiej"; zawiera ono w sobie ogólny zarys wpływu, jaki ideje współczesne na socjalne i polityczne życie azjatycko-mahometańskich krajów wywarły, oraz wskazówki i poglądy co do przyszłości ludów pod opieką Porty.

— Odkrycie pomnika w Niegolewie, w W. ks. Poznańskiem, na cześć zwycięzców polskich z Somo-Sierra, o czem doniešliśmy w poprzednim numerze, nastąpiło d. 30go Listopada przy bardzo licznem współudziale reprezentantów wszystkich stanów.

Podróże, odkrycia i komunikacje.

— Donosiliśmy już czytelnikom naszym, że Anglja organizuje wyprawę podbiegunową. Obecnie została wybraną w tym celu komisja organizacyjna złożona z doświadczonych żeglarzy do bieguna: admirała Mac Clintocka, pp. Richarda, Osborne i Amstrong. Jednym z okrętów wybierających się w podróż zarządzać będzie Kommodor Markham, drugim kapitan Hobart Seymour. Przygotowania odbywają się w Portsmouth. Admirał Mac Clintock udał się do Dundee, Aberdeen i Peterhead dla wyszukania biegłych łowców wielorybów do składu załogi.

— Podróżnik i dziennikarz amerykański Stanley, o którego wyprawie w głąb Afryki niedawno wzmiankowaliśmy, nadesłał obecnie z Zanzibaru do dzienników: „Daily Telegraph" i do „New York Herald" listy, donoszące o zbadaniu koryta rzeki Rufidschi wraz z mapą, na której oznaczone są nowo dokonane przez niego odkrycia i delta rzeki Rufidschi po raz pierwszy w całości przedstawiona. Donosi także Stanley, że odkrył nowe okolice, mogące mieć bardzo ważne znaczenie, zawiązać z niemi bowiem można nader ożywiony handel a przytem posiadają one niewyczerpany grunt napływowy. Wyszukał także główne drogi, któremi odbywa się handel niewolnikami i twierdzi stanowczo, że łatwo dająca się zorganizować straż rzeczna na płaskich łodziach, w krótkim czasie i z małym kosztem wschodnio-afrykańską frymarkę niewolnikami stanowczo wykorzenić zdoła.

— Odkopano niedawno wielką ilość urn z popiołami z kości ludzkich, na gruncie towarzystwa budowniczego w Dreznie, przy przeprowadzaniu nowej ulicy. Zdaje się, że istniało kiedyś w tem miejscu pogańskie cmentarzysko. Wiele z tych urn przez nieostrożność robotników poszło w kawałki, udało się jednak Dr. Geinitzowi ocalić dla królewskiego muzeum około 70 urn nieuszkodzonych prawie, a także i innych naczyń glinianych, pomiędzy któremi filiżanki i misterne grzehotki dziecięce się znajdują, oraz znaczną ilość pierścieni, szpilek, noży z zbronzu i miedzi.

— Najnowszem i najbardziej znaczącem odkryciem w ruinach Pompeji jest wielkie malowidło ścienne, przedstawiające Orfeusza z lirą, otoczonego gromadą różnorodnego zwierza. Głowa muzyka-czarodzieja jest cudownej piękności — reszta postaci nie odpowiada jej pod względem doskonałości. Barwy odznaczają się nadzwyczajną świeżością. Obecnie zajmuje się komisja artystów zdjęciem naturalnej wielkości kopji z tego malowidła dla neapolitańskiego muzeum. Odkrycia powyższego dokonano w domu, połączonym w pobliżu Casa del Fauno (także Casa di Goethe zwanym) obok murów miasta. Przy tej sposobności zapisujemy tu, że wykopany w ostatnich czasach w Herkulanum srebrny biust. uważają za biust Galby. Twarz zakonserwowała się dobrze; reszta zupełnie popsuta.

— Połączone niemieckie stowarzyszenie telegraficzne zajęło się ścisłem wyliczeniem czasu jakiego potrzebuje depesza do przejścia pomiędzy Niemcami a Ameryką. Otoż obrachowano, że depesza taka idąca z północno-niemieckiego wybrzeża z Emden do Nowego Jorku (odległości 4490 mil angielskich) potrzebuje przecięciowo 16 minut, 4 sekundy czasu, a z Nowego Jorku do Emden 15 minut 31 sekund. Szybkość ta daje pojęcie o doskonałości do której już doszła telegrafja podmorska.

Wojskowość.

— Inspektor generalny wojsk francuskich Chenu, jak po krymskiej i włoskiej kampanji, tak obecnie po niemiecko-francuskiej wojnie ogłasza cyfry strat w ludziach obu narodowości. Wedle tego wykazu Francuzi stracili w zabitych, zaginionych bez śladu i pomarłych z ran i chorób rozmaitych 138,000, rannych mieli 142,000 a zasłabłych w marszu 11,421 ludzi, podczas gdy na Niemców przypada tylko 44,000 zabitych i 127,000 rannych. Tę korzystną dla siebie różnicę w liczbie umarłych, zawdzięczają Niemcy wedle zdania pana Chenu lepiej urządzonej wojskowej służbie zdrowia.

— Francuska artylerja, wedle podania ministra wojny generała de Cissey w całości zaopatrzoną już została w nowe armaty, a za kilka miesięcy wszystkie fortece otrzymają także nowe działa.

ROZMAITOŚCI.

— Przypadkiem wpadł nam w rękę „Dodatek do Nr. 28. Gazety Krakowskiej“ z d. 5. kwietnia r. 1808. Między wiadomościami politycznemi nie znaleźliśmy żadnej zasługującej na powtórzenie, ale za to ciekawe są ceny zbóż na targowicy krakowskiej. I tak notowano w tym dniu: korzec pszenicy 58 złp.; żyta 54; jęczmienia 48; owsa 28; grochu 76; a kaszy jaglanej 100. Jeżeli zważymy, że od tego czasu wartość pieniędzy w trójnasób się zmniejszyła, to musimy przyznać, że taniość jest dziś niesłychana. Cóżby np. powiedziano, gdyby dziś kazano płacić za korzec kaszy jaglanej 300 złp. czyli 75 guldenów! Ale prawda, to były czasy wojen napoleońskich — a dziś wszędzie pokój.

— „Journal de Geneve“ zamieszcza w liście z Sionu z dnia 24. listopada opis zawiei śniegowej na górze św. Bernarda, której ofiarą padło kilku ludzi. We czwartek 19. 12 robotników włoskich wracając do kraju, ruszyło równo ze świtem z Sainte-Pierre, chcąc albo przebyć szczyt góry, albo przynajmniej dostać się do gospody klasztornej, a to w czasie śnieżnym. W połowie drogi do gospody spotkali wysłych naprzeciw siebie, jak reguła zakonna przepisuje, dwóch zakonników ze służącym i wielkim psem klasztornym. W tej samej chwili burza się wzmogła i powstała trąba śniegu zlodowaciałego, zwana veura, która wirując górą, zabierała śnieg świeżo spadły i zasypała podróżnych. Pierwszy ich oddział złożony z pięciu robotników, dwóch zakonników, sługi i psa przewodnika zniknął w kłębach śniegu, który ich na kilka metrów wysoko zasypał, chociaż nie było lawiny ze szczytu. Siedmiu innych, którzy szli w drugim oddziale, zostali wywróceni i zasypani, ale zwolna zdołali się odkopać i mocno zbici dowlekli się z powrotem do miejsca, zkąd wyszli, po daremnem usiłowaniu odgrzebania zasypanych. Wszelako po długich trudach udało się kanonikowi Contat przebić skrupiony lód, który go przygniatał; pokrwawiony zawlókł się o ćwierć mili do pierwszej chaty zwanej szpitalkiem. Tam znaleziono go nazajutrz prawie bez tchu, po 27 godzinach przepędzonych bez pożywienia i bez jakiejbądź pomocy, albowiem pies Turko, który się wydrapał także z pod śniegu ciężko pokaleczony, przypadł do klasztoru i powiódł zakonników do miejsca, gdzie kanonik przebywał. Posilono chorego i dowiedziano się, jaki los spotkał podróżnych i zakonnika, lecz w godzinę przyniesiono już zwłoki kapłana, który wraz z drugim towarzyszem i pięcioma podróżnymi zginął w zaspach śniegu. Od r. 1816 nie było wypadku, żeby tyle ludzi naraz zginęło a w ich liczbie zakonnicy, którzy poświęcają się ratowaniu podróżnych.

— W pismach poznańskich znajdujemy następujące szczegóły o dziecku skradzionem przez Cyganów: „Przed dziewięciu laty zginęła chałupnikowi Mielchen w Georgenbergu pod Jaworem (Jauer) trzyletnia córeczka Paulina. Ojciec poczyniwszy wszystkie kroki do odszukania dziecka, zwątpił wreszcie, sądząc, iż dziecko spotkało nieszczęście. — Gdy w roku zeszłym przez zniknięcie Anny Beckler w całej wschodniej Europie została zwrócona uwaga policji na włóczące się bandy Cyganów, odebrał w pobliżu Rygi landrat Baron von Wolff jednej z tych band cygańskich dziewczynkę jednastoletnią, będącą bezwątpienia pochodzenia europejskiego. Gdy przecie Becklerowie oświadczyli że to nie ich dziecko, kazał baron Wolff dziecko to wychować oddając do zakładu sierót. Chałupnik ów wyczytawszy w dziennikach wiadomość tę, powziął podejrzenie, że to jest jego przed ośmiu laty zginiona córeczka, tembardziej że wówczas rzeczywiście jak sobie przypomniano, wałęsali się byli Cyganie w okolicy Georgenburga. Napisał list do barona Wolffa i w przesłanej mu fotografji dziewczęcia poznał swoją córeczkę. Przed kilku tygodniami pojechał do Rygi i poznawszy ją, zabrał do domu.“

— Jedna z pięknych czytelniczek postawiła dziennikowi „Libertè“ drażliwą kwestję: „Czy kobiety, doszedłszy do pewnego wieku, powinne odważnie przyznawać się do lat swoich, czy też starać się o ich ukrycie?“ „Libertè“ tak odpowiada: „Wyznać odważnie wiek swój zrezygnować się na zostanie osobą starą — to bardzo ciężko, a niekiedy i bardzo niebezpiecznie. Jednym z tysiącznych dowodów na to jest historja Marji Leszczyńskiej, kobiety godnej uwielbienia, ale pozbawionej kokieterji, a która gdyby się nie była przyznała zbyt wcześnie do starości, zachowałaby była niewątpliwie serce i miłość Ludwika XV. Przyznać się odważnie do swego wieku może tylko albo matka rodziny, która pomieściła całe szczęście swoje w przyszłości swoich dzieci, — albo też kobieta taktowna i wyższego umysłu, posiadająca przyjaciół i stałości ich pewna. Każda z tych kobiet po abdykacji takiej staje się istotą mającą w sobie coś anielskiego. Pozbywa się bowiem wszystkich drobnostkowych pretensji młodej kobiety, zachowując całą delikatność niewieściej natury, — urok jej osobliwy, elegancja prosta i sympatyczna — a bezinteresowność dodaje tym przymiotom wysokiej wartości. Kobieta taka — ofiaruje wszystko! — podczas gdy młoda kobieta — nie czyni nic bezinteresownie. Wiemy, że to ostatnie słowo nasze przyjęte zostanie okrzykiem oburzenia z tysiąca pięknych usteczek, a jednak nie wahamy się go powtórzyć i rozwinąć. Tak jest, młoda kobieta nie jest bezinteresowną najmniejszy uśmiech, każde pocałowanie ręki kupić od niej potrzeba za cenę hołdu, lub uszanowania, lub oddania się jej bezwarunkowego, albo też wreszcie przyjęciem udziału w jej troskach, pragnieniach, dobrych uczynkach itd. Zapłata nieunikniona — bo egzekwują z nieubłaganym chłodem starego lichwiarza! Oto epizod objaśniający, a teraz wracamy do rzeczy. Można więc przyznać się do właściwego wieku i zyskać na tem—ale do tego potrzeba być w wymienionych powyżej warunkach i mieć poczucie niebezpieczeństw i przywilejów tej roli. Rzecz to trudna i nie dla każdej kobiety przystępna. Tymczasem każda mieć może tyle lat, ile chce, i przeciągnąć władzę swoją nad rodem męskim niezmiernie długo, jeżeli zna sekret potemu. Sekret ten polega na następnej prostej kombinacji: Po przejściu owego przylądka burz życia i miłości, który się nazywa trzydziestką, jeżeli się chce przywiązać do siebie stale męża lub kochanka, należy tylko okazywać ubóstwienie dla wszystkich wad, jakiemi ich niebo obdarzyło, a które zręczna kobieta wybornie spostrzeże. Wówczas nikt o wiele młodszy przemódz takiej doświadczonej czarodziejki — nie zdoła! Dodajcie do tego środki toaletowe — i oto kobieta po trzydziestce zyskuje jeszcze dwadzieścia lat pewnej władzy. Oto nasze zdanie. Precz z abdykacją. Każda kobieta ma tyle lat — na ile wygląda. A wyglądać — od niej zależy!“ Dotąd słowa francuskiego dziennika. Czy się zgadzamy na nie? Nie pytano nas o to. Milczymy więc. Ale wydrukujemy każde zdanie sprzeczne lub popierające tę kwestję.... Prosimy — kto łaskaw!

— Piszą z Paryża: Półtora roku już upłynęło od czasu jak ostatni spirytysta gościł w naszej stolicy. Teraz doczekaliśmy się innego, który jednak nie ma zamiaru dawać posiedzeń. Zwie się on Henryk Mato, i przybywa z wyspy Kuby, gdzie nazwisko jego wymawiane jest z zabobonnym strachem. Na jednym z wieczorów urządzonych w klubie strzeleckim w Kubie, p. Mato wywołał ducha Krzysztofa Kolumba, co niezmierne sprawiło wrażenie na widzach, pomimo że grono obecnych „składało się z samych mężczyzn nie znających trwogi“. Teorja spirystyczna nowego „medium“ opiera się na odrębnych zasadach. Twierdzi ona, że dusze po opuszczeniu ciał swoich błąkają się przez pewien czas pomiędzy ziemią a księżycem, poczem stosownie do zasługi przeznacza się im jedna z planet na miejsce stałego pobytu. Piekło znajduje się na planecie Uranus; dusze osadzone na planetach, nie mają prawa wchodzić w żadne stosunki z mieszkańcami ziemi. Ale ponieważ każde prawidło ulega wyjątkom, tak też i w tym razie wyjątek został zrobiony na wyłączną korzyść pana Mato. Widoki finansowe żywo obchodzące wszystkich znanych dotąd „medjów“, obojętne są (?) dla spirytysty kubańskiego. Przybył on do Europy nie dla próżnej mamony, lecz jedynie w celu porozumienia się z przedstawicielami swego fachu na gruncie starego świata.

— Szóstego bm. w Dreźnie miało miejsce spalenie zwłok, wedle metody Siemensa, przy nader uroczystym obchodzie. Były to zwłoki młodej i uroczej kobiety 23-letniej, ktora umierając wymogła na mężu swoim obietnicę, że ciało jej wyda płomieniom. Liczny orszak członków rodziny, uczonych, doktorów i figur urzędowych uczestniczył w tym obrzędzie. Pokój w którym stała trumna zamieniono w ogród pełen zieleni i kwiatów; odsłonięte wieko pozwalało się przypatrzeć swobodnie rysom nieboszczki, którym śmierć nawet nic nie ujęła z krasy. W obecności wszystkich wniesiono zwłoki do pieca, którego drzwi żelazne za niemi się zawarły. Ale otwór umyślnie urządzony w tych drzwiach pozwalał przyjrzeć się wszystkim fazom spopielenia. Skoro tylko p. Siemens odkręcił kurek od rury, w której znajdowało się powietrze rozgrzane do najwyższego stopnia, natychmiast ciało pięknej nieboszczki otoczyła płomienista aureola. Ani pryskania, ani dymu, ani jakiejkolwiek woni. W mgnieniu oka przeszło ciało z barwy purpurowej w barwę lśniącej białości, po pięciu kwadransach zaś osunęło się i rozsypało, tworząc maleńką garstkę białego proszku. Nazajutrz przystąpiono do ceremonji i „Ossilegium“, do zebrania popiołów, które złożono w urnie i wręczono wdowcowi, w obecności dobranego i głęboko wzruszonego towarzystwa.

— Pod dniem 23. listopada donoszą z Londynu: Wczorajsza mgła była zjawiskiem prawdziwie straszliwem. Od świtu trzeba było palić gaz w pokojach i mało kto odważył się wyjść na ulicę, nawet ruch wozowy prawie zupełnie ustał. Mgła dokuczała też płucom, mniej lub więcej utrudniając oddychanie. Szczęściem, był to właśnie dzień niedzielny, kiedy liczne statki parowe na Tamizie bądź co bądź musiały spoczywać, w przeciwnym bowiem razie dym ich kominów byłby bardziej jeszcze zatruł i zagęścił powietrze. Mnóstwo jednak mimo to zdarzyło się nieszczęśliwych wypadków. W dzielnicy doków, gdzie po nad otwarte kanały wiedzie mnóstwo wąskich mostków, tudzież nad samą Tamizą, wiele osób błądząc w ciemności, pospadało do wody i tylko z największą trudnością zostały przez rybaków wyratowane; kilkoro dzieci przejechały na ulicach konie, kilka nieszczęśliwych wypadków zdarzyło się także na drogach żelaznych, pomimo że pociągi jechały z nadzwyczajną ostrożnością, używając sygnałów strzelniczych. Mgła ogarniała nietylko stolicę, ale także hrabstwa Jorkshire i Staffordshire, gdzie podobno była jeszcze gęstszą niż w Londynie i liczne spowodowała wypadki.

— Amerykanie są jedynym może z narodów ucywilizowanych okazującym wyraźny i czynny wstręt do zbyt charakterystycznego francuskiego tańca — kankana. Świeżo właśnie policja nowojorska chcąc przeszkodzić wejściu tego tańca na deski tamtejszych teatrów, zaaresztowała cały corps de ballet sprowadzony i zaangażowany w powyższym celu przez tamtejszy Metropolitan Theater.

— Obiega pogłoska że Liszt odmówił 100.000 dolarów, które ofiarowywał mu pewien impressario amerykański za wybranie się do Ameryki i danie tam pewnej liczby koncertów. Niesłychana bezinteresowność!

Odpowiedzi Redakcji.

M. w H. poczta Kozowa. Oryginalne pamiętniki z czasów Katarzyny II. nadzwyczaj zajmujące i wiernie malujące stosunki ówczesnego dworu petersburgskiego, o których wspomnieliśmy w naszym prospekcie, znajdują się już od dawna w naszej tece, i pojawią się niezwłocznie w „Tygodniu“ po ukończeniu „Pamiętników Komorowskiego“. Dwojakie pamiętniki nie sposób równocześnie umieszczać, gdyż w ten sposób pismo nasze stałoby się jednostronnem, czego unikamy.

I. P. w Dukli. Przysłany nam poemat „Mieczysław i Zofja“ nie będzie drukowany. Można go odebrać w naszej redakcji.

H. P. w Stryju. Dziękujemy za pamięć, ale niestety żadnych tłumaczeń nie potrzebujemy.

Zamiast przyrzeczonych w tym kwartale numerów **14.** *damy* **15.** *ale ponieważ nadchodzą święta, przeto Nr. 14. i 15. wyjdą razem na Boże Narodzenie. Zwracamy na tę datę uwagę szanownych czytelników. Prenumeratorowie miejscowi będą mogli ten numer podwójny odebrać już w środę d. 23. bm.*

Zwracamy uwagę czytelników, że tylko te reklamacje, które zostaną nam przysłane, najpóźniej w 8 dni po wyjściu każdego numeru, będą na przyszłość uwzględniane.

Treść Nr. 13.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.